MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 30. WARSZAWA, 21 CZERWCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHEQUERS

PO UPADKU Poincarégo, za rządów Herriota, odbyła się na zamku Chequers pod Londynem, w urzędowej letniej siedzibie pierwszego ministra Wielkiej Brytanji, poufna konferencja francusko-angielska.

Dwudniowa konferencja 21—22 czerwca 1924 roku pomiędzy Herriotem a Mac Donaldem stanowiła zamknięcie polityki „realnych sankcyj", jak je rozumiał Poincaré i zapoczątkowanie nowej polityki w stosunku do Niemiec, opartej na tak zwanym „planie Dawesa", a przyjętej na Konferencji Londyńskiej w sierpniu 1924 roku.

Żegnając uczestników konferencji w dniu 16 sierpnia 1924 roku, Mac Donald tak scharakteryzował nowy kurs polityczny:

— „Układ ten można uważać za pierwszy naprawdę pokojowy traktat. Podpisujemy go bowiem z uczuciem, że odwróciliśmy się plecami od straszliwych lat wojny i wojennej umysłowości".

„Lecz dzieło nasze stanowi tylko pierwszy krok na tej drodze. Musimy iść dalej, krok za krokiem, zmierzając do pacyfikacji i odbudowy".

Po latach siedmiu, w tej samej rezydencji pierwszego ministra, zdala od zgiełku wielkiego miasta, w atmosferze zapewniającej poufność i dyskrecję, spotkali się — już nie przedstawiciele państw, związanych dziejami czteroletniej walki, wspólnemi ofiarami w obronie pokoju i wolności złożonemi, lecz mężowie stanu dwu wrogich narodów, bez udziału sojuszników, z którymi dotąd prowadzono wszystkie rokowania wspólnie, z którymi dotąd każdy krok uzgodniano starannie, unikając wszelkich pozorów rozbieżności.

Jaki był przebieg rozmów w Chequers? Oczywiście nie mogło tam być „tajnej dyplomacji", przeciwko której tyle razy zastrzegał się obóz polityczny p. Mac Donalda. Oczywiście nic tam nie uchwalono, nawet, jak oświadczył na posiedzeniu komisji spraw zagranicznych premjer angielski — uczestnicy tych rozmów nie doszli do żadnych wniosków.

Były tylko rozmowy. Były „osobiste kontakty". Było wprawdzie przedstawienie sytuacji gospodarczej Niemiec, ale w odpowiedzi na to usłyszeć mieli ministrowie niemieccy niemniej żałosną relację o stanie rzeczy w Wielkiej Brytancji.

Tem nie mniej zainteresowanie kół angielskich dla stanu gospodarczego Niemiec znacznie miało wzrosnąć. Odczuto również potrzebę „dalszej wymiany poglądów". Przyjęte zostało zaproszenie przedstawicieli Anglji do Berlina.

Ale to wszystko jedynie dla ustalenia kontaktu wzajemnego, dla informowania o sytuacji, nie zaś dla żadnej tajnej dyplomacji.

Że prasa niemiecka rozpoczęła niezwłocznie kampanję na rzecz nowej rewizji systemu reparacyj, ustalonego przed rokiem t. zw. planem Younga, to w niczem nie zmienia sytuacji formalnej.

Jednakowoż p. Briand uznał za właściwe energiczne przeciwstawić się tym pogłoskom i podkreślić w sposób stanowczy, że plan Younga jest „ostateczny" i zmieniony być nie może.

A kiedy prasa niemiecka wysunęła, jak to czyni od lat dziesięciu, argument zamieszek wewnętrznych, które z Niemiec łatwo przerzucić się mogą na całą Europę, ostrożny w swych wyrażeniach „*Temps*" nazwał to „ordynarnym szantażem".

Niemniej jaskrawe, a zgoła niezwykłe dla lakonizmu anglosaskiego echo znalazła mowa Brianda w organie zbliżonym do obecnego rządu Wielkiej Brytanji.

Oceniając mowę Brianda, a zwłaszcza ten jej ustęp, gdzie przeciwstawia się on nowym próbom rewizji systemu reparacyj, tak kończy swój artykuł „*Daily Herald*":

— „Podobne metody rozumowania mieć muszą skutki fatalne dla ideałów, wyznawanych przez samego Brianda".

— „Jego twierdzenia są nietylko nonsensem. Są one sprzeczne ze stypulacjami Paktu Ligi Narodów, któremu Briand ślubował wierność".

Nie dość na tem:

— „Jest to najwyższe szaleństwo. Jest to wyzwanie i prowokacja. Przysporzy to tysiące nowych zwolenników Hitlerowi".

— „P. Briand jaknajgorzej przysłużył się nietylko Francji i Niemcom, lecz całemu światu".

Tantaen animis caelestibus irae!

Skąd gniew ten, jeżeli w Chequers nic nie uchwalono, a nawet do żadnych nie doszło się konkluzyj?

*

Z czem pojechali Niemcy do Anglji? Niejakie światło rzuca na to bardzo dobrze poinformowany i zbliżony do kół miarodajnych Rzeszy miesięcznik niemiecki „*Geopolitik*".

Polityka zagraniczna Rzeszy, czytamy w numerze kwietniowym tego pisma, już za czasów Stresemanna wyszła z granic bierności. Obecnie ulec ona musi dalszym zmianom, a to w kierunku czynnego rewizjonizmu, inaczej grozi jej zupełne zerwanie z opinją kraju.

Pierwszem posunięciem Niemiec na tej drodze musi być, zdaniem tego pisma, postawienie kategorycznych żądań na konferencji rozbrojeniowej w lutym 1932 roku, — tego roku, który pismo uważa za punkt zwrotny w dziejach Niemiec. Jeżeli te żądania nie będą uwzględnione, wówczas Niemcy po raz pierwszy od chwili Wersalu powiedzą swoje „nie" i zerwą z koncertem państw europejskich.

A potem przyjdzie kolej na Ligę Narodów. Przedstawiciele Niemiec zażądają rewizji traktatu wersalskiego na podstawie art. 19 Paktu. A jeżeli spotkają się z odmową, występują z Ligi Narodów.

— „Obydwa te posunięcia są niezbędne, ażeby jeszcze raz pokazać światu, że spokój w Europie nie może być zabezpieczony tak długo, dopóki nie będą uwzględnione najpilniejsze żądania rewizjonistyczne Niemiec.

„Anglja i Ameryka będą miały sposobność raz jeszcze rozważyć, czy Francja jest w stanie tak stabilizować rynki europejskie, jak one sobie tego życzą i czy nie jest raczej wskazane skłonić Francję do ustępstw na rzecz europejskich dążeń rewizjonistycznych."

Jaką rolę w tem wszystkiem ma, według planu niemieckiego, odegrać Rosja?

„Roli Rosji zależy przedewszystkiem od tego, czy i kiedy będzie ona w stanie wziąć gospodarkę wszechświatową pod krzyżowy ogień dumpingu i kiedy będzie ona w stanie przejść do bardziej czynnej polityki zagranicznej dla poparcia narodowych i socjalnych dążeń w krajach, dążących do rewizji traktatów.

„Już teraz jednak Rosja stanowi potężną osłonę polityczną tych państw. Znaczenie to wszakże stanie się decydujące wówczas, gdy narodowe i socjalne dążenia tych państw zleją się w jedną całość".

„Wówczas wybije wielka godzina dla polityki rosyjskiej".

Z takim bagażem wyruszała w drogę delegacja niemiecka. Czy cały ten bagaż rozładowała w Chequers? Nie wiemy. Raczej nie. Bo i nie było to potrzebne. Droga do „rewizjonizmu" prowadzi przez szereg etapów. A więc: — Nędza Niemiec. Niemcy nie mogą płacić. Trzeba zreformować „plan Younga".

— Reforma tego planu niemożliwa jest bez zgody Stanów Zjednoczonych. Stany zaś nie chcą, rzekomo, przyjść z pomocą Europie, póki trwają obecne zbrojenia. Dla pozyskania Stanów trzeba się rozbroić.

— A więc rozbrojenie. Czyje? Oczywiście „biedne, bezbronne" Niemcy nie mogą się rozbrajać. Rozbroić się powinna Francja.

Logika niemiecka jest prosta. Na straży pokoju w Europie stoi Francja i jej sojusznicy. Tak długo, póki wpływy jej decydują o stosunkach w Europie, rewizjonizm niemiecki nie ma widoków powodzenia. Trzeba rozbroić Francję, a wówczas zniknie najważniejsza przeszkoda.

Ale jakże tu uzyskać zgodę samej Francji na rozbrojenie? Argument zaburzeń wewnętrznych, wzrostu niezadowolenia w Niemczech nabiera w oczach opinji europejskiej coraz bardziej charakteru szantażu. Trzeba przenieść zamęt z Niemiec do państw decydujących o losach świata. „Niech widzą, że bez Niemiec nie może być spokoju w Europie".

Czy w Chequers wypróbowano tego rodzaju plan niemiecki? Bardzo wątpliwe. Na program tak radykalnego „rewizjonizmu", jak to sobie przedstawia „*Geopolitik*", zapewne ani p. Mac Donald, ani Henderson błogosławieństwa swego nie dali.

Sam jednak efekt zewnętrzny spotkania w atmosferze poufnej narady, z pominięciem przedstawicieli państw koalicyjnych, — a przedewszystkiem Francji, — jest dla polityki niemieckiej niewątpliwym sukcesem.

Sukces ten zawdzięczają Niemcy w pierwszej linji metodzie, stosowanej przez p. Mac Donalda. Odwrócony „plecami" do wojny i jej psychologji, nie widzi on skutków swego postępowania, — skutków oddawna już dostrzeżonych i ocenianych należycie przez jego rodaków

Nie dalej jak parę miesięcy temu, zbliżony do kół kierowniczych angielskich, bardzo poważny kwartalnik polityczny „*The Round Table*" tak charakteryzował metody i skutki polityki angielskiej w stosunku do Niemiec.

Metoda ta, wyrobiona w praktyce stosunków z dominjami i kolonjami angielskiemi, polega na tem, ażeby, zaspokajając część najbardziej pilnych dążeń danej państwowości, uzyskać w łonie jej społeczeństwa pewne odprężenie, przez wzmocnienie żywiołów umiarkowanych i osłabienie skrajnych.

Metoda ta, której wartość nie ulega dla „*R. T.*" żadnej wątpliwości, okazała się w stosunku do Niemiec zgoła nieskuteczną i tylko ośmieliła żywioły skrajne w Niemczech do bardziej otwartego wystąpienia ze swemi roszczeniami. Okazało się to zwłaszcza po opróżnieniu Nadrenji, które według koncepcji angielskiej miało właśnie zapewnić Europie uspokojenie Niemiec, ich lojalną współpracę nad zapewnieniem pokoju w Europie, przyniosło zaś otwarte dążenie do podeptania obowiązujących traktatów.

Ale wnioski „*The Round Table*" jeszcze nie uzyskały uznania ze strony p. Mac Donalda i jego współpracowników.

„Odwróceni plecami do wojny i jej mentalności", nie widzą, co się dzieje za ich plecami w Niemczech i nie dostrzegają, jak w mętnych nurtach frazeologji pacyfistycznej niemieccy kontrahenci wyławiają raz po raz bardzo cenne dla nich dowody niejednolitości sojuszników, i zbliżają się powoli do rozbicia związku pomiędzy mocarstwami zachodniemi, na którym opiera się pokój Europy.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

UNJA CZY KAJDANY?

(TŁO HISTORYCZNE „POTOPU")

Wypadki dziejowe na Litwie w r. 1655, które Sienkiewicz spopularyzował w „Potopie", jak chyba żadne inne, wśród miljonów czytelników, są stosunkowo najmniej znane — badaczom historji. Historycy starszej daty: Moraczewski, Walewski, Szujski nie wyzyskali krytycznie dla ich poznania nawet tego, co opowiedziało dziejopisarstwo spółczesne w osobie Rudawskiego, Kochowskiego i Pufendorfa: Kubala, który rozświecał Sienkiewiczowi drogę do Zbaraża, poszedł do Kiejdan raczej z latarnią Sienkiewiczowską, i całej tej dramatycznej sprawie poświęcił kilka stronic — stanowczo zamało, jak na przedmiot, którego doniosłość ludzie dziś czynni na arenie politycznej odczuwają coraz lepiej — którego sens i wartość oceniają zależnie od swych aktualnych tendencyj.

Ten hetman dręczony napadami Erynij, ten koniuszy zarażony duchem berlińskim, ten rycerz uwiedziony, potem ocucony jakby obuchem, i wołający na chłopa — ordynansa: „lej mi wodę na łeb!", ta cała Litwa bez Wilna, odrywająca się od Polski, by wpaść w opancerzone ramiona germańskiej potencji, — jakież to wszystko chwilami żywe, że aż niepokojące... Świeżo w Warszawie spróbowano gładko sprowadzić to, co najważniejsze w scenach kiejdańskich — do wytworu beletrystycznej fantazji. Nieco przedtem w Kownie, w związku z próbami gloryfikacji Janusza Radziwiłła, któremu pono nawet pomnik stawiać zamierzano, profesor publicysta usiłuje wskrzesić główną myśl paktu 1655 r., i głosi łączność Litwy ze światem skandynawskim. A jeszcze przedtem, w roku 1928, z Paryża, na łamach *„Revue Historique"* Rosjanin Paweł Gromkij rozgłosił całemu światu nowo odkrytą unję szwedzko-litewską właśnie z roku 1655, dzieło właśnie Janusza Radziwiłła. Więc cóż: legenda czy prawda? zdrada czy unja? zniewolenie czy samostanowienie narodu? cenna tradycja czy upiór ciemnej przeszłości? Szukamy wyjaśnienia u historyków — i znajdujemy dziwne rzeczy.

Oto akt 18 sierpnia, ogłoszony *urbi et orbi* przez odkrywcę Gromkiego, okazuje się mechanicznym przedrukiem z wadliwego tekstu Rudawskiego, który w żadnym razie nie stanowi umowy obowiązującej, tylko projekt i nie jest instrumentem unji, tylko *instrumentum Lithuanicae deditionis*. Co więcej, nowy wydawca wmawia nam, że Litwini poddali się Szwedom, ponieważ Jan Kazimierz i koroniarze opuścili wspólną Rzplitę jeszcze wcześniej, tymczasem wiadomo, że król głowy nie schylił nigdy, a Czarniecki walczył jeszcze w październiku. Aliści na tym samym tekście oparł się również Kubala, mimo iż znany mu Pufendorf ciągnie narrację o Kiejdanach aż do października. Niepokój nasz wzrasta. Sięgamy do własnych źródeł Kubali, do grubego rękopisu p. t. *„Relatio fraudum"*, obecnie w posiadaniu Ossolineum, i znajdujemy ni mniej ni więcej, tylko akt wcielenia Litwy do Szwecji pod datą 20 października 1655 r., zupełnie dotąd nieznany, a rzeczywiście mający brzmienie ostatecznego układu, nie projektu.

Wątpliwości nie milkną. Karol Gustaw współtwórcą unji, on który spokrewnione, protestanckie Niemcy deptał stopą zdobywcy, jeszcze bliższą, siostrzaną Danję miażdżył i pragnął pochłonąć, a własną Szwecję przerobił z państwa parlamentarnego na militarne? Jego kontrahentem Janusz Radziwiłł, potomek wrogów jagiellońskiego tronu, duchowy syn rokoszanina i zdrajcy Janusza, pełen antypatji do Polaków, wróg osobisty legalnego króla, protektor dyssydentów — ale obok tego, i nadewszystko despota, zakochany w sobie i w swoim domu, sławny z tego, jak tyranizował posłów sejmowych, aż zagrożeni setką kijów, wołali w izbie: *„Victus rationibus* księcia jegomości — ustępuję"!... Może się znajdzie w Kownie Matejko, który tę pyszną, demoniczną twarz w asystencji sprytnie uśmiechniętych Szwedów Magnusa de la Gardie i Benddykla Skyttego odmaluje na pierwszym planie unji kiejdańskiej?...

Na wątpliwości niema innej rady krom poszukiwań. Wyzyskawszy należycie Pufendorfa, „Relację podstępów" tudzież inne materjały krajowe, sięgnęliśmy za morze, do Stockholmu. Na naszą prośbę dr. Kazimierz Lepszy z Krakowa przeprowadził w Państwowem Szwedzkiem Archiwum *(Riksarkivet)* gruntowną kwerendę, i dzięki nader życzliwej pomocy dyrektora tych zbiorów, p. Helge Almquista osiągnął wynik rozwiewający wszelką niejasność.

*

Punctum saliens, prawdziwy „moment skoku" Lwa szwedzkiego na Polskę stanowi ta chwila, kiedy Karol Gustaw usłyszał od posła polskiego w Stockholmie, Jana Leszczyńskiego, że król polski gotów zrzec się korony szwedzkiej, ale Rzplita pragnie zatrzymać Inflanty właściwe (bez Estonji). 12 lipca podał Leszczyński tę propozycję, nazajutrz ułożył Carolus pełnomocnictwo dla namiestnika Inflant Magnusa de la Gardie, a 14-go wygotował instrukcję dla trzech posłów, desygnowanych do Moskwy. Pełnomocnictwo i instrukcja wyrażają istotę zamiarów szwedzkich wobec Wschodu. Carowi Aleksemu, którego wojska w tej chwili wlewały się w województwo trockie, proponuje się przymierze na podstawie podziału Polski przy uwzględnieniu także interesów Chmielnickiego, jako trzeciego partnera, w ten jednak sposób, aby dogadzając Ukrainie, nie zrazić Moskwy. Cztery różne cięcia projektuje Karol X na ciele Rzplitej: od Połocka na Słuck, Konstantynów, Kamieniec, albo nieco dalej na zachód, by car oprócz tych miejscowości dostał także Halicz, Mińsk, ewentualnie także Nieśwież i Dzisnę, w ostateczności nawet Lwów. Będzie to rozbiór nietylko Polski, ale i Litwy, z których pierwsza utraci ziemie ruskie, druga białoruskie. Wielkopolska, jak wiemy skądinąd, była zgóry przeznaczone dla Brandenburczyka, Pomorze i część Mazowsza dla Szwecji, resztki właściwej Polski — dla Jana Kazimierza. A dla kogo właściwa Litwa? Wyjaśnia to pełnomocnictwo dla de la Gardiego. Zadanie jego polega na tem, by na wyścigi z Moskalami, traktując ich zresztą jak najgrzeczniej i unikając starć, wpaść do Litwy, zająć Birże i przeciąć carowi drogę do morza. W tym samym celu wciągnąć pod szwedzką protekcję lennika Polski, księcia kurlandzkiego. I w tym celu głaskać Litwinów nadzieją, że interwencja szwedzka zmierza do zabezpieczenia ich przed Moskwą.

Jeżeli szlachta litewska odmówi przyjęcia protekcji, spróbować zbuntować przeciw niej wszelkie pospólstwo, obiecując mu od króla szwedzkiego przywrócenie wolności. Czuć w tych instrukcjach rywalizację Lwa z Niedźwiedziem, ale wspólnym wrogiem obu potęg—nazwana po imieniu Rzeczpospolita Jagiellońska. O żadnem ratowaniu zachodu przed moskiewską barbarją — czego próbowała się dopatrzeć w postępowaniu Karola nowsza historjografja szwedzka — niema mowy: chce on poprostu razem z Moskwą zniszczyć bezsilną, wyczerpaną siedmioletniemi bojami, historyczną Polskę i Litwę.

Wsiadł „Gardius" na okręt, przypłynął do Rygi i przystąpił do wykonania. Wojska miał niewiele, zato ajentów pokątnych, kupczyków, faktorów, zwłaszcza dyssydentów i żydów poddostatkiem. Tych puścił przodem za Dźwinę, z transportem głaszczących obiecanek. A tam za Dźwiną panowała ostatnia rozpacz. Gromady uchodźców z Mińszczyzny, Witebszczyzny, Połocczyzny obozowały lub chroniły się po dworach nad Niemnem, Wilją, Wilejką, Świętą, opowiadając ścinające krew okropności o barbarzyństwach carskich i kozackich wojsk, pożarach i spustoszeniach, o wyrzynaniu całych miasteczek i wsi, porywaniu w głąb Rosji dziesiątków tysięcy ludu, mordowaniu mężczyzn i dzieci, znieważaniu kobiet, profanowaniu świątyń Pańskich. Los stolicy Gedyminowej wisiał na włosku. Zbliżał się koniec świata, i przed tym końcem żadnego ratunku nie obiecywał wielki książe Jan Kazimierz, równocześnie napadnięty w Wielkopolsce. W takich chwilach dusze bohaterskie postępują — jak Kordecki, dusze słabe składają z siebie odpowiedzialność, zresztą i silni często się załamują i rozumni tracą głowę.

Janusz Radziwiłł się nie załamał ani głowy nie stracił. Pozostał wierny sobie i swej idei radziwiłłowskiej. Zaiste nie litewskiej. Bo choć założył gdzieś litewską drukarnię, ale to dla propagandy kalwinizmu, w którym widział podporę swej potęgi; choć bił kozaków pod Łojowem i Białącerkwią, ale to właśnie, aby teren swego wielowładztwa od kozaczyzny uchronić. Protestantyzm w jakiejkolwiek szacie — siedmiogrodzkiej, brandenburskiej czy szwedzkiej był mu bliższy, niż Polska. „Przyjdzie czas",—wołał w r. 1649—„kiedy Polacy do drzwi nie trafią, przez okna ich wyrzucać będziemy", a króla Jana Kazimierza gotów był wyrzucać nietylko z Wilna, nawet z Krakowa. Bywał w Kijowie, bijał kozaków, ale spiskując z Rakoczym a przez Rakoczego stykając się z Chmielnickim, obronę Białorusi przed Moskwą zaniedbał, zaś po utracie Smoleńska wojował tak, że według słów Rudawskiego „wojnę tę słuszniejby nazwać radziwiłłowską, a nie moskiewską, domową raczej niż zewnętrzną". Wszystkie siły Wielkiego Księstwa stoczyła prywata księcia wojewody, kto nie chciał przysięgać na jego ideologję, musiał trzymać fakcję z jego wrogiem, podskarbim Gosiewskim.

Tak stały rzeczy na Litwie 28 lipca, kiedy z Rygi nadbiegli pierwsi gońcy od Magnusa de la Gardie. Dla części dyssydentów były to gołębie pokoju, dla całej Litwy — kruki śmierci. Gońcy roznosili jedenaście kondycyj. Ofiarowując poddającym się ochronę przed Moskalami, ale tylko na terenie dotąd wolnym, tudzież rekomendację do łaski królewskiej, żądali Szwedzi dla Karola Gustawa wszystkich zamków, wszystkich wojsk, wszystkich praw królewskich w dziedzinie świeckiej i duchownej, no i naturalnie zaopatrzenia korpusu okupacyjnego we wszystkie potrzeby. Bezpieczeństwo handlu, jak i swobodę wyznania przyrzekali warunkowo, o ile na to zgodzi się ich władca i nieposłusznym grozili między wierszami gwałtem i łupiestwem żołnierskiem. Była tam jeszcze w kondycjach wzmianka o jakichś stanach, wolnościach, godnościach, niezrozumiale związana z zapowiedzią rekomendacji do łaski królewskiej.

Nie przypuszczał hrabia Magnus, jak prędki zbierze plon ze swego posiewu. Tyle się nakłopotał, patrząc na swe próżne worki i mizerne pułki, i nie wiedząc, jak pogodzić pertraktacje rozbiorowe z Moskwą, z uwodzicielską komedją, w jaką miał wciągać Litwinów. A tu zdobycz sama wpadała w nastawione sidła. 28 lipca docierają do kwater Radziwiłła pierwsi gońcy z Rygi. Tegoż dnia podpisują obaj książęta list do namiestnika z prośbą o pomoc. Temże piórem zawiadamia hetman króla, całując jego rękę, jako „wierna zawsze rada i uniżony sługa" o postępującej inwazji moskiewskiej, tudzież o grożącej szwedzkiej: „toć jest *ultima facies* tego mizernego państwa już zgubionego i za zgubę swoją o pomstę do Boga wołającego". Nazajutrz rusza do Rygi powiernik radziwiłłowski, — dyssydent Gabrjel Lubieniecki z dwojaką misją — prywatną i publiczną. Publiczna świadczy, że w krytycznej nocy z 28 na 29 lipca nad losem Litwy odbywały się w Wilnie gorączkowe obrady albo z biskupem wileńskim Tyszkiewiczem, albo, jeżeli ów odjechał już do Królewca, to z jego mężami zaufania: kustoszem wileńskim ks. Białłozorem i ks. Wołłowiczem. Asystowali z pewnością też panowie świeccy. Zetknęły się dwie dusze — patrjotyczna litewska, i dynastyczna radziwiłłowska, i spróbowały stworzyć kompromisowy plan działania. Aliści dusza radziwiłłowska, jeszcze za lepszych czasów, najmniej od lat siedmiu, wydzierała się z pod władzy króla polskiego i wspólnej Rzplitej, i Stokholm wiedział od r. 1648, że pewna szlachta na Litwie, dokładniej: dyssydenci, jeszcze dokładniej: Radziwiłłowie, garną się pod jego skrzydła... Lubieniecki przybył do stolicy Inflant 5 sierpnia i poprowadził dyskurs.

Autentycznym wyrazem misji Lubienieckiego są owe „*Cautiones et conditiones*", spisane w Wilnie 28 — 29 lipca, ale niepodpisane ani przez Radziwiłłów, ani przez biskupa Tyszkiewicza. Dziwne pismo z dwoistą twarzą... Żąda się w dziedzinie polityki zagranicznej, aby Karol Gustaw oznajmił Moskalom, że całe W. Księstwo wziął pod swoją protekcję, i wezwał ich do zawieszenia kroków wojennych, zwinięcia oblężeń, wstrzymania najazdów kozackich, tudzież ustanowienia strefy neutralnej w okręgu między Dnieprem i Berezyną, a jeżeli wróg takiego ultimatum nie usłucha, Szwedzi razem z Litwinami wyprą go z granic państwa. Litwy Karol nie będzie zmuszał do wojowania z Janem Kazimierzem i Polakami, ani do żadnej nieprzyjaźni „*erga patriam communam*", owszem, pozwoli jej wspierać Polskę w wojnie z Moskalami i kozakami. Cały spór z Polską zostanie załatwiony na wspólnym kongresie pokojowym szwedzko - litewsko - polskim. Dopiero w razie popadnięcia Polski pod obce panowanie, Litwa odzyska wobec niej wolne ręce i przyłączy się do akcji Karola.

Żąda się w dziedzinie ustrojowej, by protektor uznał fakt dobrowolnego akcesu narodu litewskiego i nikogo do poddaństwa nie zmuszał. Podobnie jak z Polską była dotąd Litwa „*sacrosancta et indivisa unione*" złączona, tak samo nadal nie będzie ona inkorporowana do Szwecji, tylko po-

dobną zjednoczona unją, aby naród z narodem, senat z senatem, rycerstwo z rycerstwem we wszystkiem byli zrównani, przy zachowaniu wszystkich praw i swobód, zwłaszcza wolności sumienia. Unję tę ugruntuje wspólny Sejm litewsko-szwedzki, i jedynie podobny sejm będzie władny zmieniać jej zasady *communi consensu*. Po unji oba narody zajmą się rewindykacją moskiewskich zaborów, a na początek Szwedzi uratują Wilno.

Tak żałośnie, i, trzeba przyznać, ze swego stanowiska poczciwie żegnali hegemonowie Litwy unję jagiellońską. Wtem słychać zgrzyt żelaza po szkle! Na wypadek zupełnego przewrotu *(mutatio status)*, t. zn. rozbioru W. Księstwa, Radziwiłłowie w nagrodę za ryzyko zastrzegają sobie: Bogusław województwa: nowogródzkie, mińskie i podlaskie, a nadto wszystkie w dawnej Rzplitej dobra dziedziczne, i starostwo barskie. Janusz—województwo brześciańskie z powiatami grodzieńskim i wołkowyskim, tudzież dobra ziemskie jak wyżej; a to wszystko otrzymają obaj w lenno z prawem bicia monety i innemi prerogetywami książąt Rzeszy Niemieckiej, w której też odpowiednie otrzymają miejsce. Jeżeli stracą coś w Koronie, to Szwed wyrobi im przy zawarciu pokoju odszkodowanie. Zresztą hołd lenny złożą dopiero po podpisanym z Polską traktacie rozbiorowym.

Tak pozwalając biskupowi marzyć i gwarzyć o unji, prawach, wolnościach, wspólnym froncie antymoskiewskim, Radziwiłłowie odsłonili jednym tchem swój własny program. Może narodowo litewski w znaczeniu dzisiejszem? Nie. Całą dzisiejszą Kowieńszczyznę oddawali w duchu Szwedom, rezygnowali z Wilna, przyznawali Witebsk, Połock i Smoleńsk Moskwie, byle wykrajać pod szwedzkim puklerzem rodzaj marchji wschodniej na modłę Marchji brandenburskiej.

Nierealne były te rojenia, i spotkały się ze wzgardą nie dlatego, że mierzyły za wysoko, ale ponieważ wychodziły z mylnej kalkulacji: że Szwed ma ochotę wojować z carem. Niestety. Na omówienie postulatów publicznych, zdaniem namiestnika, nie było czasu, na sprawy prywatne — owszem, koncypowano różne formułki, aż wreszcie ajent złożył w ręce De la Gardiego skrypt hetmana, zgóry uznający Karola za prawowitego króla i wielkiego księcia litewskiego, a zarazem przyrzekający dotrzymanie wszystkiego, co zakontraktuje pełnomocnik. Jednocześnie podpisał w imieniu Janusza i Bogusława „punkta", które tem się różnią od ogólnych, znanych nam „kondycyj", że uwzględniają prywatne interesy i zobowiązania Radziwiłłów, a nie takież interesy i obowiązki pozostałej szlachty. Oprócz Birż, także Nieśwież, własność katolickiej gałęzi domu, wpuści do siebie Szwedów. W punkcie 8 namiestnik przyrzeka poprzeć u króla sprawę Radziwiłłów, t. zn. ich pretensję do posiadania na Litwie pewnych krajów *(regiones)* tytułem lenna, z prawem bicia monety i zasiadania w sejmie Rzeszy Niemieckiej; a ponieważ zerwanie unji grozi im utratą majętności położonych w Koronie (np. na Podlasiu i Wołyniu), więc rząd szwedzki zaopiekuje się interesami odstępców przy rokowaniach z Polską. Jakie „*regiones*" upatrzyli sobie Radziwiłłowie w tem pierwszem stadjum targów, na razie nie wiadomo, słychać tylko o ekonomjach brzeskiej i kobryńskiej, przeznaczonych dla koniuszego. Ale to był dopiero początek ich pożądliwości.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

TCHÓRZOSTWO I NIEWIARA LUDZI „DOBRZE MYŚLĄCYCH"

UKAZAŁA się w Paryżu książka, która poświęcona jest stosunkom francuskim, lecz która ma znaczenie powszechne, dotyczy bowiem zjawisk, które spotykamy we wszystkich krajach europejskich; powinna tedy znaleźć czytelników w Polsce. Mamy na myśli rzecz Jerzego Bernanos'a o Drumoncie (tytuł — „*La grande peur des Bien-pensants*").

Bernanos'a znaliśmy dotychczas jako powieściopisarza, zwłaszcza jako autora głębokiej i wstrząsającej powieści: „*Sous le soleil de Satan*", poruszającej zagadnienia religijne, oraz autora książki o św. Dominiku. Wiedzieliśmy na podstawie jego artykułów zamieszczanych w dziennikach, że jest tęgim polemistą, nie spodziewaliśmy się wszakże, że posiada tak silne instynkty społeczne i że tak głęboko przemyślał dzieje Francji z okresu między dwiema wojnami (1870 — 1914), jak to się ujawnia w omawianej tu książce.

Bohaterem jej jest głośny swego czasu publicysta i pisarz francuski Edward Drumont (1844 — 1917), inicjator ruchu antysemickiego, autor książki „*La France juive*" (1886) i redaktor pisma „*La Libre Parole*" (założone w r. 1892). Głośny to był człowiek we Francji w ostatniem ćwierćwieczu wieku XIX i w pierwszych latach wieku XX, w czasie, gdy żywioły radykalne, za któremi stało wolnomularstwo, prowadziły ostateczny i uwieńczony powodzeniem atak przeciwko republice „konserwatywnej", zrodzonej z klęski sedańskiej i przeciwko „przeżytkom" takim, jak armja i kościół. Bulanżyzm, Panama, sprawa Dreyfusa, dzieje oddzielenia Kościoła od państwa — oto rozdziały dziejów Francji tego okresu. Były to wstrząśnienia bardzo silne i głębokie, przejawy rewolucyjnego przeobrażenia w umysłach i stosunkach. Wśród obrońców „starego porządku" jednym z najpotężniejszych był Drumont; uderzył on wprost, z genjalną intuicją, w tę siłę, ktora była niebylejakim czynnikiem dokonywającego się przewrotu: we wpływy żydowskie. Przegrał, a jedną z głównych, jeśli nie główną przyczyną jego przegranej było to, że nie znalazł współczucia i poparcia wśród tych właśnie, którzy byli wyznawcami tych samych co on ideałów, wśród ludzi „dobrze myślących", jak ich nazywa Bernanos.

O Drumoncie można powiedzieć, że się urodził zapóźno, lub zawcześnie. Życie jego upłynęło w okresie, w którym konserwatyzm był „reakcją", w którym konserwatyści utracili wiarę w słuszność swej sprawy, żyli w przeświadczeniu, że nic nie może powstrzymać zwycięstwa „postępu" i socjalizmu oraz upadku znaczenia Kościoła i tego wszystkiego, co było otaczane szacunkiem za czasów „*ancien règime*'u". Był wskutek tego zaplątanym wśród tego pokolenia pogrobowcem czasów minio-

nych; był jednak — jak to dziś już stwierdzić można — prekursorem czasów nowych.

W szeregach „reakcji narodowej” przeciw ideałom wieku XIX-go stoi mocno Bernanos. Należy do ludzi, którzy dla odwiecznych ideałów znaleźli nowoczesne uzasadnienie i nowoczesny wyraz, którzy wierzą mocno w to, że posiadają prawdę i że prawda ta musi zwyciężyć. Należy do pokolenia, którego pragnieniem, którego—jak sądzimy—czynem dziejowym ma się stać rewolucja francuska przeciw ustrojowi, zbudowanemu na ideologji Wielkiej Rewolucji. To pokolenie zaś musi z natury rzeczy czuć głęboką pogardę, nienawiść nieomal, do swych poprzedników z minionego okresu przejściowego, którzy formalnie wyznawali i głosili te same, co ono, ideały, lecz nie wierzyli w ich zwycięstwo, a w dziedzinie życia praktycznego stosowali kompromisy i robili ciągłe ustępstwa siłom, o których sądzili, że muszą być zwycięskie.

Znamy z własnego doświadczenia tych przedstawicieli „ginącego świata”, którzy własnemi rękami kopią sobie grób, a za najpilniejsze swe zadanie uważają walkę z tymi, którzy nowoczesnemi środkami stają w obronie tych samych ideałów, a różnią się od nich wiarą w ostateczne tychże ideałów zwycięstwo. Bernanos smaga ich bez litości, odsłania ogrom ich winy i odpowiedzialności w okresie dziejów Francji, gdy materjalizm walczył z wiarą w siły duchowe, gdy złoto zwyciężało krew, gdy rozpadała się tysiącletnia budowa duchowa Francji, gdy zagnieżdżała się w społeczności głęboka rozterka wewnętrzna...

Bernanos wypowiada się szczerze, dobiera słów ścisłych i dosadnych, często bolesnych i dotkliwych. Usprawiedliwia go jednak w zupełności gniew i gorycz, jakie musi odczuwać, gdy widzi, że do walki z pokoleniem, głoszącem „reakcję” przeciw płytkim wierzeniom wieku XIX, obok ludzi, noszących te wierzenia w swem sercu, lub ordynarnie je wyzyskujących, stają także przedstawiciele „konserwatyzmu”, owi ludzie „dobrze myślący“, co nie mając wiary w siebie, sądzą, że przez kompromisy z tem, co uważają za smutną konieczność, zdołają uratować, jeśli nie panowanie swych ideałów, to przynajmniej przywileje materjalne swej warstwy.

Po drodze zaś, wśród ostrej walki, pomiędzy jednem a drugiem uderzeniem, wypowiada Bernanos szereg prawd o najwyższych zagadnieniach, jakie stoją przed myślą człowieka, o życiu i śmierci, o wojnie, o wierze i religji, o społeczeństwie, państwie i narodzie. Książka jest trudna w czytaniu. By ją przetrawić, trzeba nietylko znać dzieje Francji ostatnich lat sześćdziesięciu, dzieje jeszcze nie spisane, lecz także oswoić się dobrze ze sposobem myślenia autora, zrozumieć jego pozycję myślową, moralną i uczuciową, punkt widzenia, z którego z taką surowością i gniewem patrzy na historję Francji w ostatniem półwieczu. Kto jednak zada sobie ten trud, ten nie pożałuje wysiłku i zamknie książkę z przekonaniem, że lepiej rozumie Europę współczesną oraz niejedno zjawisko życia polskiego

VIATOR

ANDRZEJ GIDE A MŁODZIEŻ FRANCUSKA

Zamieszczamy poniżej nadesłany nam artykuł wybitnego przedstawiciela najmłodszej generacji krytyków francuskich, dobrze odzwierciadlający poglądy i nastroje, górujące dzisiaj pośród nowego pokolenia pisarskiego we Francji. (Red.)

PISMO paryskie „*Latinité*” tytułujące się „przeglądem krajów zachodnich” ogłosiło świeżo ankietę, przeprowadzoną przez pp. Jaques Reynaud'a i Jaques Victor de Laprade'a na temat Andrzeja Gide'a.

Odpowiedzi pisarzy cudzoziemskich oświetliły źródła, z których wypływa światopogląd owego autora i omówiły najgłębsze i najistotniejsze elementy jego twórczości.

Opinje pisarzy niemieckich ukazały w świetle jaskrawem potężne i liczne węzły pokrewieństwa, łączące autora „Immoralisty“ z duchem germańskim. Najbardziej charakterystyczne i najistotniejsze cechy talentu Gide'a budzą prawdziwy entuzjazm u literatów z tamtej strony Renu.

Hans Leit odkrywa z zachwytem w Gide'zie „zwiastuna zalewu orjentalnego, który połączywszy się z protestantyzmem wzburzy i przekształci stary świat”.

Vilans Mann wyznaje „głęboką miłość” dla owego „niespokojnego protestanta”.

May Rychter odnajduje w Gide'zie tę samą „miłość do rzeczy dalekich“, która cechuje Nietsche'go.

Wszyscy owi pisarze przyznają się do pokrewieństwa duchowego z autorem francuskim, w którym odnajdują odwieczne znamiona własnego charakteru narodowego.

Szczególnie rewelacyjną jest opinja p. Hermanna Bahra.

„Francja” — pisze on — „nawet po roku 1789 pozostała autoryzowaną strażniczką wielkiego stylu zachodniego. Ponadto była najukochańszą córą Kościoła.

Gide natomiast jest kalwinem, pozatem zaś fanatycznym zwolennikiem Tołstoja. Jako taki wkroczył już na drogę bolszewizmu. Zamęt go nie przeraża. Przeciwnie: pociąga go. I to jest w nim bardzo niemieckie. Nas niemców pociąga zawsze *Coincidentia oppositorum* Mikołaja de Cusa. Nie znamy sztuki ograniczonej. Nie mówimy sobie nigdy: „jedno albo drugie“. Chcemy mieć zawsze „jedno i drugie“. Nie daje się to pogodzić z zamiłowaniem francuskiem do jasności. Próby pogodzenia przeciwieństw dają w rezultacie zawsze... dym“.

Krytyka p. Alfreda Kerra jest również nader charakterystyczna.

„—Natknąłem się w pismach Gide'a na ten sam protestantyzm, którego mamy dużo w Niemczech. Spotkawszy Gide'a w Berlinie miałem wrażenie, że widzę francuza fałszywego. Bardzo go lubię, jako pisarza“...

Zamiłowanie do zamętu i anarchji, odraza do wszelkiej krytyki i supremacji ducha, przesadna żarliwość w powiększaniu roli niezbadanych, tajemniczych sił bytu i egzaltacja dla odruchów instynktu—oto wybitnie antyfrancuskie, antyzachodnie cechy talentu Gide'a, które go spokrewniają z barbarzyńskiemi ideologjami azjatyckiemi, „wylęgłemi kędyś

w tajemniczych regjonach Dalekiego Wschodu i manifestującemi swoją destrukcyjną potęgę w chaosie rosyjskim i niemieckim.

Opinje pisarzy łacińskich, zestawione z sądami Niemców, pozwolą nam urobić sobie jasny pogląd na t. zw. „gide'yzm".

„Gide" — pisze Luigi Torelli — „nie wywarł żadnego wpływu we Włoszech". „Nie widzę w nim twórcy jakiejkolwiek szkoły" — powiada Lorenzo Gigli. I dodaje: „Nie podobna być mistrzem, nie mając wiary". Oświadczenie to określa świetnie jałowość indywidualizmu gide'owskiego.

Sąd rumuńskiego pisarza Pamfila Seicarn'a, posła do parlamentu i redaktora naczelnego jednego z największych rumuńskich dzienników, jest typowym przykładem reakcji myśli łacińskiej na bezład i anarchję — charakterystyczne cechy twórczości Gide'a, łączącej w sobie rozkładowe siły protestantyzmu, azjatyckości, Rousseau'izmu i germanizmu.

Pisze on:

„— Nie należy nigdy zapominać, że cywilizacja opiera się na równowadze moralnej, wypływającej z odwiecznych praw ludzkiego współżycia. Wyraz „cywilizacja" pochodzi od słowa *„civilis"*, Mieści w sobie pojęcie *„civitas"*. Innemi słowy: niemożliwą jest rzeczą dźwignięcie jakiejś rasy na wyższy szczebel cywilizacyjny zapomocą brewjarza buntowniczego, opartego na tradycjach protestanckich, który to brewjarz stanowią dzieła p. Gide'a".

Gide'yzm, protestantyzm i demokratyzm, na gruncie literackim, religijnym i politycznym to trzy siostrzane herezje, wypływające ze wspólnego źródła, bijącego gdzieś w najciemniejszych zakamarkach duszy ludzkiej.

Najjaskrawszym przejawem ducha protestanckiego w życiu społecznem jest Rewolucja.

(Nazywamy ją „francuską", chociaż była ona faktem raczej gallickim, w każdym razie wydarzeniem ściśle lokalnem).

Ogień jej strawił, zdawałoby się, wszystkie tradycje. Krytycyzm jej spopielił wszystkie ustalone dogmaty. Pomimo to z popiołów owych nie urodziła się jakoś żadna nowa moralna dyscyplina.

W życiu codziennem nihilizm metafizyczny łączy się zwykle z dyletantyzmem sceptycznym, który zapładnia dusze ludzkie ciągłym buntem przeciwko wszelkim zasadom ładu i stałości.

W społeczeństwie, którego podstawy odwieczne są kruszone, dusza jednostki opłakuje z rezygnacją utraconą równowagę. Tę równowagę, której się dorobiła tysiącletnią kulturą. Zasada wolności absolutnej, proklamowana przez protestantyzm w odniesieniu do sumienia indywidualnego, została rozszerzona przez rewolucję na sumienie zbiorowości. Po rozwaleniu trwałych ram w dziedzinie religijnej i politycznej — zaraziła swą burzycielską techniką również literaturę. Począwszy od mętnego idealizmu romantyków, przez naturalizm i symbolizm — (który jest niczem innem jak tylko trzeciem stadjum choroby romantycznej) literatura ekshumowała przez całe stulecie wszystkie anormalności duszy ludzkiej. Nazywa się to szumnie „podbojem nowych terytorjów psychologicznych". W gruncie rzeczy jest to tylko — ćwiczenie".

Dalej pomieniony autor pisze:

— „Musimy sprawiedliwie przyznać p. Andrzejowi Gide'owi, że na niego spada główna odpowiedzialność za ugruntowanie u nas tej nowej „Szkoły nieodpowiedzialności", gdzie szczerość jest hypokryzją na opak, i gdzie sztuka jest tylko niewolniczem schlebianiem niewyznawalnym emanacjom duszy ludziej".

Z pomiędzy autorów francuskich, którzy odpowiedzieli na ankietę czasopisma *„Latinité"*, wymieńmy przedewszystkiem p. Gabriela Boissy. Podkreśla on jałowość i egocentryzm autora książki p. t. *„Si le grain ne meurt"*.

Drieu de la Rochelle nazywa Gide'a autorem metody „rozumowania o rzeczach bezrozumnych".

Camille Mauclaire powiada, iż Gide jest do tego stopnia pisarzem zniemczonym, iż Nietzsche, który czerpał obficie ze źródeł kultury łacińskiej, wydaje się wobec niego pisarzem zdrowym i budującym.

Rzecz znamienna:

Ci literaci, którzy do niedawna lubili się tytułować „uczniami Gide'a" — nie wzięli udziału w ankiecie. Milczenie ich jest nader wymowne. Wskazuje ono jasno, że autor dzieła p. t. *„Nourritures Terrestres"* — zgodnie z opinją p. Henryka Massis—zbankrutował jako pisarz i jako człowiek.

Przez pewien czas p. Andrzej Gide zwodził pozorami klasycyzmu i poprawnością stylu swoich dzieł młodzież literacką, spragnioną prostoty i prawdy. To, co było w jego dziełach elementem buntowniczym i anarchicznym, działało do pewnego stopnia na generację, doprowadzoną do rozpaczy korrupcją i fałszem tych sfer, które reprezentowały podówczas w narodzie ład ustalony.

Ale prawdziwe oblicze Gide'a, który czerpał swoje doktryny z Lutra, Rousseau, Dostojewskiego, Rabindranatha - Tagore etc. — okazało się bardzo prędko. Wyszła na jaw niewolnicza imitacja i konformizm u tego, który wygłaszał kazania, przybierając pozy dyletanta i artysty.

Dzieła jego rozczarowały czytelników przedewszystkiem brakiem oryginalności. Młodzież, spragniona nowości, znalazła w pismach Gide'a—starzyznę.

Z drugiej strony rozczarowała czytelników despirytualizacja Andrzeja Gide'a. (Określenie to zawdzięczamy p. Karolowi du Bos). Grozi ona każdemu, kto wystawia na pokaz swój indywidualizm bez osłonek. W ostatnich swoich pracach autor *„Candide*'a" przedstawia nam najbrzydsze zboczenia z rozmiłowaniem, budzącem wstręt.

Niewątpliwie Andrzej Gide mógł był swoim anarchizmem zdobyć sobie szersze rzesze zwolenników (poza tymi, którzy szukają w nim legitymacji swoich złych skłonności). Mógł był pociągnąć za sobą umysły zdrowe i serca szlachetne, które się buntują przeciwko złym stronom porządku ustalonego, oficjalnego, przyjętego powszechnie. Na szczęście jednak przeciwstawił mu się pisarz o talencie bez porównania potężniejszym, z którym Gide mierzyć się nie może.

Karol Maurras, o którym Henryk Massis powiada, że „odrestaurował nam pojęcie człowieczeństwa" — to pojęcie, które p. Andrzej Gide usiłował zniszczyć — rozprószył nieporozumienie. Potrafił wykazać, że przyczyny cierpień, trapiących nas obecnie, wypływają z podstawowych zasad rewolucji — tych właśnie zasad, które Andrzej Gide próbował wskrzesić.

Maurras potrafił obudzić w sercach młodzieży aspiracje nowe. Umiał skrytykować skutecznie bezład i fałszywość romantyzmu. Wskrzesił zamiłowanie porządku. Wskazał młodzieży piękną rzeczywistość, do której tęskniła.

Młodzież owa, która — według słów Peguy'a — była oszukiwana przez swoich mistrzów i przewodników—ujrzała dzięki Maurrasowi piękno i płodność porządku przyrodzonego. Porządku, w którym osobowość ludzka może się rozwijać doskonale według praw natury.

Dzieła uczniów tego filozofa empirycznego i znakomitego poety, którzy zastosowali jego doktrynę do najrozmaitszych dziedzin myśli, świadczą o olbrzymiej potędze regeneracyjnej, zawartej w pismach Karola Maurrasa i wykazują całkowitą zgodność tej doktryny z aspiracjami jej wyznawców.

Malowidła obyczajów w powieściach Bernanos'a, rozprawy krytyczne Lasserre'a i Dubech'a wykazujące spustoszenia, dokonane przez romantyzm w dziedzinie literatury i sztuki, praca filozofa-finansisty Jerzego Dovime, który udowodnił zbrodniczość ideologji rewolucyjnej w dziedzinie ekonomji politycznej — wszystko to jest posiewem myśli Maurrasowej.

Ponieważ pisząc o Andrzeju Gide dotknęliśmy aspektu filozoficznego tego zagadnienia—zwróćmy uwagę czytelnika na jeszcze jedno dzieło, które przed innemi zasługuje na podziw każdego, kto pragnie zdać sobie sprawę z całej płodności doktryn maurrasowskich.

Mamy na myśli dzieło p. Henryka Massis'a.

Autor „Sądów" i „Obrony Zachodu" dzięki gorącej wierze katolickiej, którą wyznaje, poszerzył zasięg wskazań Maurrasa. Wykazał całą wielkość posłannictwa, które ma do spełnienia w świecie duch francuski, będący produktem cywilizacji rzymskiej, kultury średniowiecznej i mądrości wieku XVII-tego.

Henri Massis odrestaurował niejako godność rasy francuskiej. Współpracując z Karolem Maurras'em wskazał młodym Francuzom drogę tradycyjną — do doskonałości. Jedyną drogę, która nie prowadzi do bankructwa.

Przedewszystkiem wykazał, że walka katolicka jest najpiękniejszą działalnością, jakiej człowiek może się poświęcić, a równocześnie najbogatszem, zawsze żywem i najpłodniejszem źródłem twórczości literackiej. Wszakże literatura, pragnąc być wiernem odbiciem życia—musi opisywać walkę.

Odpowiadając p. Andrzejowi Gide'owi p. H. Mussis pisał: „— Niechaj p. Gide będzie spokojny. Chrześcijanin, człowiek godny nazwy człowieka, nigdy nie uwięźnie w moralności szablonowej i zdawkowej. Święty Franciszek Salezy stwierdził, iż nie ma gotowej świętości. Nie istnieje również gotowe człowieczeństwo. Trzeba było na to długich wieków, ażeby człowiek mógł stworzyć „człowieka". A chociaż model ów jest znany, każda jednostka musi się zdobyć na olbrzymi wysiłek, aby się do niego upodobnić. Trzeba na to całego życia jednostki. Czy przypadkiem nie dlatego właśnie, iż osiągnięcie tego ideału jest takie trudne, wielu ludzi odwraca się ku doktrynom, które dają im — całkowitą swobodę umierania?"

Młodzież francuska zwraca się dzisiaj ku nauce Maurrasowej, której prawdziwość potwierdził tragicznie wielka wojna, nie zaś ku fałszywym i niedorzecznym doktrynom Gide'a, przeciwnym i obcym genjuszowi rasy francuskiej.

L. DE GÉRIN-RICARD

BOŻE CIAŁO

Motto: *Z pełności serca mówią usta.* — Naślad. Chryst.

SŁUŻBA BOŻA

Wandzie

Dzień jaśniejący słońcem, lecz wiatrem podszyty,
Ciepły a świeży, — godnie oblókł Boże Ciało.
Pisk organów wyniośle bił w kościelne szczyty,
A cały dół śpiewanie ludzkie wypełniało.

Zniżając się i duszą i wzrokiem przed Panem,
W skupieniu przenosiłem tu górę Kalwarję...
Tu, na stopniach ołtarza, krytych pstrym dywanem,
Widzieć chciałem nad Synem bolejącą Marję.

Najnieśmielsze przeczucia takiej możliwości
Poderwały do góry wzrok i uskrzydliły.
Ocknąłem się, oczyma tonąc w niebieskości
Szybek, co wydłużony krzyż w oknie czyniły.

I zaraz wzrok z kościoła przez okno wyfrunął:
Z wróblami ku topoli leciał rosachatej,
Bo wiatr ruchliwy targał jej liściaste runo,
Z za szyby nie zielone już lecz popielate.

Dzwonek zadźwięczał. Wzrok mój, na psocie złapany,
W jednej chwili z wierzchołka wdół zsunąć się zdołał...
Potrąciwszy rosnące pod kruchtą łopiany,
Przez furtę półotwartą wrócił do kościoła.

Właśnie już była pora upaść na kolana,
Już ku wzniesionej Hostji jęk wznosił się zewsząd.
Napór rozemknął wrota naprzeciw kapłana:
— Weszło słońce i klękło nalewo, wśród dziewcząt.

SŁOWO BOŻE

Janowi Rembielińskiemu

Nie widać twarzy. Klęczy. Wsparł o kazalnicę
Czoło i dwie nad czołem zaplecione dłonie.
Cisza. Blady jak komża wstał. Dłoni przyłbicę
Zdjął z czoła. Słowo Boże odczytał. Już płonie!

Po ludzku umie Boga z ludźmi utożsamić,
Do ziemskiego poziomu niebo nam przychyla.

Słyszymy, że Bóg Ojciec chce mieszkać z synami,
Że nam Bóg Syn dłoń bratnią podaje co chwila.

...Nie rozpaczajcie nawet jeśli z waszej ręki
Cios skrwawi Boże Ciało, lub Rany rozdrapie:
Myśmy odnowiciele wszyscy Bożej Męki,
On — Odkupiciel wieczny szaleństw, szalbierstw, strapień...

Prawda stara, co od lat półtora tysiąca
Nie wsiąka w dusze, lecz się uszami wylewa, —
Odmładza się w cnem sercu, a z ust spadająca
Cudem cudów w zerwanym księżym głosie śpiewa.

PROCESJA

Wiew chorągwi, ryk śpiewny i chust łopotanie;
Cmentarz koło kościoła gęsto się zaludnił.
Nowy śpiew: — U wrót Twoich stoję, Panie!.. Panie!..
— Sąsiad mój w pierś prawicą bije się, aż dudni.

Z baldachimu, co stał się mistyczną karocą,
Na cztery strony patrzy czterech Apostołów;
Przy drążkach czterej z bractwa pobożnie się pocą,
Symbolizując orła, lwa, człeka i wołu.

Klękamy. Botlegera córka z Ameryki
W gali, piętą o piętę strychuje co siły,
By z nóg fortepianowych zsunąć półbuciki
I śpiewa... Ten instrument ludzki ma głos miły.

Kobieta, co przede Mszą „u wywodu" była,
Z dzieciątkiem w szafirowo-trawiastej chuścinie,
Zadarłszy głowę wgórę — jakby się zaśniła:
Przysiągłbyś, że na klęczkach pod niebiosa płynie.

Grzęda kwiatów do Serca Jezusa dorasta,
A za ołtarzem w dali widać jak się święci
Kolorami rząd domków sławetnego miasta;
— Na ich tle lśni celebrans w roju białych dzieci.

Bobra, 7.8.9.VI,1931 r. STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Są gniazda i gniazda. — Świat i gniazdo ludzkie. — Czy to klatka? — Liberalizm ludzi nie zasymilowanych i cywilizacja. — Wolność i przymus. — Czy człowiek może wrócić do stanu natury? — Horoskopy.

W WARSZAWIE ustalił się zwyczaj, że autorowie nie pozwalają wydawcy posyłać książek pisarzom inaczej myślącym, niż oni; a że wydawcy myślą zawsze tak, jak ich autorzy, więc wytwarzają się harmonijne gniazda, odgrodzone od siebie atmosferą antypatji. Nie mówię o nienawiści; ta nie jest pierwiastkiem zasadniczym antypatji. Nienawiść to już coś, na co potrzebny jest wysiłek; antypatja, biorąc rzecz psychologicznie, jest wygodnym stanem zakazu wewnętrznego nieinteresowania się tem, co myśli sąsiad.

— „Ja jestem mądry" — mówi sobie autor, — „utwierdzają mnie w tem przyjaciele i zupełnie mnie przekonali. Mam swoją ścieżkę i nie czuję potrzeby z niej schodzić. Zgóry wiem, że co tamten pisze, głupie jest. Ale gdyby nawet było mądre, to przecież nie mogę się wyłamywać z gniazda i narażać na wstrząsy cały obóz. Zresztą, poco mi to? Poco mam myśleć za dwóch?"

Antypatja tedy jest rodzajem instytucji psychicznej, jak klub, gdzie doskonale się czuje obozujące próżniactwo. Autorzy nie tylko nie interesują się sobą wzajemnie, ale odsuwają się od siebie z całą przezornością, jaką doradza przysłowie, że ptak swego gniazda nie kala. Istotnie, wiemy z obserwowania przyrody, że gniazda są upstrzone dokoła, więc się odsuwamy, a ten dystans jeszcze zwiększa antypatję.

Ponieważ nie z koterji literackiej się rodzę i należę do pokolenia, którego żywiołem jest wysiłek, biorący na siebie odpowiedzialność za całość spraw życia i kultury w Polsce, więc te dąsy wydają mi się dziecinne. Społeczeństwo nie jest pensjonatem, gdzie każdy ma swój pokój i spokój; jesteśmy gospodarzami, którzy sobie przeszkadzają lub pomagają. Oto dlaczego od czasu do czasu przełamuję bojkot i kupuję książki autorów, którzy mnie nie uznają i nie widzą. W taki też sposób doszedłem do posiadania najnowszej książki Tadeusza Boya-Żeleńskiego „Słowa cienkie i grube" (Warsz. 1931. „Rój").

Jest to zbiór fejletonów, ogłaszanych w dzienniku, ale z zagadnieniami chwili, którą przeżywa społeczeństwo, nie związanych publicystycznie. Terminy tematów autor sam sobie wyznacza i zawsze czyni siebie ich węzłem. Ten ich osobisty charakter i forma, zawsze powabna, stawiają Żeleńskiego — fejletonistę w szeregu beletrystów i krytyków, teren bowiem literatury jest mu najdogodniejszy. Nie mam zamiaru pisać recenzji z tej książki, ani się kuszę o szacowanie wartości literackich dzieł tego autora, chciałbym jedynie z powodu jego książki uprzytomnić czytelnikom, jak głębokie bywają w świecie myśli podstawy nieporozumień, różnic i rozbieżności.

Zwykliśmy wszystko zwalać na różnice w poglądach politycznych, tak jakby wszystko się zaczynało, dajmy na to, od wyobrażeń o Konstytucji. Tymczasem są głębsze różnice, ujawniające się w poglądach na konstytucję świata.

Nie trzeba studjować wszystkich dzieł Żeleńskiego, dość przeczytać jeden jego fejleton, aby zrozumieć, że ludzie mogą się z sobą różnić o całe pół świata. W sztuce tyle jest miejsca na indywidualność, oryginalność i nawet dowolność, że ludzie na jej terenie radzi się spotykają, jako że to jest jedyne miejsce neutralne. Ale nie tak dawno w tym salonie — od słowa do słowa — przyszło niemal do bijatyki z Żeleńskim. O co? O to, że odbronzowia Mickiewicza... A więc i tu bywa pewna granica dowolności. Wszystkie inne różnice opinja potoczna gotowa darować, mało się nad niemi zastanawiając, ile że Boy nie dotyka polityki, która nie leży w zakresie jego zainteresowań.

Wogóle podziwiać trzeba zgodliwość, czy apatję społeczeństwa polskiego, które właściwie nigdy o nic się nie spiera, jakby mu na niczem nie zależało. Na jednym punkcie wyrobiło w sobie pewną wrażliwość, mianowicie na punkcie uczuć narodowych, uświęconych symbolami cierpień 150-letnich. Nieco mniej wrażliwi w kwestjach religijnych, obojętnie znosimy ataki na zasady moralności, a już zupełnie apatycznie zachowujemy się wobec prądów filozoficznych, jaknajbardziej wywrotowych. Jeżeli sprawa przewrotu w r. 1926 mogła być dla Warszawy okazją zabawy ulicznej, to czemuż literackie „wywroty" ideowe mają być zabawką zdrożną?

Mnie osobiście nie tyle drażni pojęcie wywrotu, jako tragicznego zamiaru wywrócenia cywilizacji, ile beztroskliwość o cywilizację. Zdawałoby się, że należymy do społeczeństw, które się zdecydowały na typ życia w stanie cywilizacji. Każda jednostka ma chyba w okresie swego wychowania taką chwilę uświadomienia, że istnieją dwa światy na sobie ustawione i z sobą połączone, ale zasadniczo różne: 1) świat naturalny (przyroda) i 2) świat sztuczny (wzniesiony przez człowieka). Ten świat nadbudowany jest dziełem sztuki w najszerszem znaczeniu tego słowa, a miano tej sztuki — cywilizacja. Wszystko to polega na wybronzowaniu, bo jest rzeczą wysiłku ducha, który ten świat dźwiga i trzyma w pionie. Wszystko jest historyczną konwencją, utrwalaną na bronz rygorem obyczajów i praw, sakralnością, czcią dla genjuszu, który budowę dźwiga według planów idei, rzutującej cele coraz wyższe.

Jest to jednem słowem formacja wręcz odmienna od natury, choć organiczna ze względu na ducha ludzkiego; człowiek nie ma już możności wybierania między światami. Z przyrodą łączy go tęsknota i ten wątek, który sam reprezentuje jako fizyczny twór przyrody. Próżnoby się dziwił lub szarpał I myśl filozoficzna, i wiedza, i sztuki z literaturą — to gniazdo, a nie inne człowiekowi puchem wysłały i w jego granicach kazały mu się obracać.

Wobec nieobliczalnych możliwości twórczych w tym kierunku, dziwią mnie ludzie światli, którzy swoje zadanie widzą w odkręcaniu z powrotem świata humanistycznego. Rozumiałbym raczej ich stanowisko, gdyby uznali, że wogóle cywilizacja jest więzieniem, katorgą i że całą trzeba zwalić do djabła. Wzięli się do takiej roboty bolszewicy, ale przecież od przymusu swego społeczeństwa nie uratowali... Straszny zastosowali przymus zewnętrz-

ny, podczas gdy kraje cywilizowane zastąpiły przymus w znacznym stopniu dobrowolnością, która im sprawia rozkosz.

Żeleński jest przedstawicielem tego w społeczeństwie osadu, który idzie z cywilizacją, ale jakby nie był dostatecznie przekonany, ciągle czemuś się dziwi i odbronzowia i na wyrywki reformuje, nie cofając się przed wysiłkiem osobistego czynu, aby zachwiać prawo ascezy na rzecz prawa natury. Więc wtajemnicza się np. w tokowisko zwołujących się przez anonse par miłosnych i sam pośredniczy w wymianie listów miłosnych. Chlubiąc się tym czynem kończy: „Oto jak ludzie szukają się i nawołują wzajem w przerażających mrokach Kosmosu".

Trudno nie spostrzec tutaj błędu w metodzie traktowania zjawisk. Człowiek nie jest osadzony w Kosmosie, lecz w tym drugim ze światów — ludzkim, gdzie prawem natury jest właśnie bronzowanie. Nie można z cywilizowanego społeczeństwa robić z powrotem dżungli i zburzyć zasadę rodziny dlatego, że w przyrodzie jej niema.

Warszawa mieszczańska wysoko wynosi sławę literata tak śmiałego w myśleniu. W tej atmosferze można na wiele sobie pozwolić, nawet na zalecanie do studjów idei reformistycznej Marjawitów. Bardzo jednak nizki musi być poziom kultury umysłowej społeczeństwa, w którem można zdobywać miano filozofa i mistrza kultury przy tak prymitywnej metodzie. Oto np. jak się obtłukuje z bronzu ideę Słowa:

„Wydechamy z płuc zepsute powietrze. Wydechać je musimy pod grozą zatrucia. Otóż to zepsute powietrze zużywa natura dodatkowo, mimochodem do wydawania głosu, przepuszczając je przez naszą krtań... Oszczędność niewątpliwie; ale jest coś niesamowitego w tem, że najcudniejsza pieśń, najpodniośle jsze słowo — wszystko to pędzone jest przez naszą krtań zepsutem powietrzem".

W sposób jeszcze drastyczniejszy odbronzowiona została Miłość przez zestawienie tego poetyckiego uczucia z narządami płci, danemi od natury. Nigdy inaczej nie straszył rodziny wiedzą swoją przyrodniczą medyk pierwszego kursu, przybywający na wakacje do domu.

P. Żeleński w fejletonach swoich nie może wyjść z podziwu, że społeczeństwo przeciwko jego wystąpieniom protestuje, dziwi się instynktowi zachowawczemu, ze zgrozą patrzy na to, jak młodzież akademicka zapobiega, aby nie wystawiano w Warszawie „Cjankali". I to właśnie jest bardziej niepokojące od jego grzechów społecznych. Bo co myśleć o stopie kultury umysłowej środowiska, gdy jego myśliciele najzawilsze zagadnienia bytu otwierają kluczykiem „dwa razy dwa — cztery" i zdobywają wystarczający im do sławy z tego tytułu poklask?

Mną, gdy piszę o tem zjawisku, nie powodują względy policyjno-moralne; mnie martwi, że w Polsce niemal w stulecie po teorji Słowa, jaką wysnuł z duszy swej epoki Mickiewicz, może myślicielom przychodzić gust na rozważanie Słowa jako funkcji fizycznej; po stu latach kultu idei miłości przyszli ludzie, którzy się z niej naśmiewają jako fizjologowie. Skądże się bierze ten prymityw filozoficzny, że sprzeczności bytu są do pogodzenia, i to w drodze folgowania potrzebom naturalnym? Sprzeczne to jest nie tylko z duchem polskiej filozofji idealistycznej dziewiętnastego wieku, ale wogóle z duchem wszelkiej cywilizacji, której całym sensem jest powściąg i ograniczenie.

Zagadnienie cywilizacji staje się znowu w naszych oczach tragicznem i będzie się domagało wielkiego wysiłku twórczego ludzkości. Ale nie rozwiążą go liberalni lekarze, zalecający wolne użycie. Cywilizacje europejskie już nie dadzą się zepchnąć do stanu naturalnych potrzeb; raczej powróci średniowiecze ze skrajnem ubóstwem, ale nadbudowujące się bogactwem ducha, który spęta ascezą tych, co hołdują człowieczeństwu, a usunie poza nawias życia elementy, nie poddające się prawu cywilizacji.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„ROTARY"

NIEZBYT dawno donosiły dzienniki, że w Polsce powstał pierwszy *Rotary Club* i że wkrótce ma ich powstać więcej, a w ślad za tem ma być utworzony okręg „kołowaty". Podobno p. minister Zaleski wyraził wielką radość z tego powodu.

Udało nam się uzyskać nieco materjałów o tej „kołowaciźnie", może przydadzą się one do wyjaśnienia, czy naprawdę potrzebujemy jeszcze jednej ekspozytury międzynarodowej u siebie.

Ideologja *„Rotary"* ma być „filozofją życia codziennego, z celem realizowania prawdziwego połączenia egoizmu i altruizmu". W klubie *„R."* ma się „wytwarzać sumienie społeczne". *„Rotary"* dąży do wzbudzenia w swych członkach zrozumienia, że pewien idealizm w interesach, praktyczna życzliwość i nastawienie na dobro ogólne — są niezbędne do tego, by ludzkość mogła oprzeć się na zgodzie i by zapanował pokój międzynarodowy. Członkowie klubu zobowiązują się do stosowania w życiu zasad etycznych związku. Hasłem Rotarzystów jest „służyć", „bądźcie chętnymi do usług, nie egoistami".

Klub *„R"* jest wolnym związkiem, stawiającym sobie za cel „zrzeszanie kupców, przemysłowców i rzemieślników, aby rozpowszechniać najwznioślejsze zasady uczciwości w interesach. Jest obowiązkiem każdego „Kołowca" wnoszenie tych zasad do swego zawodu i takie prowadzenie swych interesów, aby koledzy uznawali, że należy go naśladować".

Bardzo charakterystyczny jest przepis, który żąda, by do klubu wchodził w danej miejscowości tylko jeden jedyny przedstawiciel każdego zawodu. Tłumaczy się to w ten sposób, że chodzi o zapewnienie przedstawicielstwa dla każdego zawodu i o utrzymywanie kontaktu ze strony klubu, za pośrednictwem członków, ze wszystkiemi gałęziami pracy w mieście. (Zdawałoby się, że większa ilość przedstawicieli nie zaszkodzi w kontakcie).

Regulamin jest bardzo srogi, przewiduje usunięcie z klubu za nieobecność nieusprawiedliwioną na 4 zebraniach kolejnych.

„Międzynarodowa Kołowacizna" (*Le Rotary International*) jest organizacją, założoną w celu protegowania i propagowania na całym świecie ideałów *„R"*, dla zakładania, pobudzania, wspomagania klubów i administrowania niemi, a także

w celu „studjowania, w biurze centralnem, zagadnień, które zwrócą uwagę klubów“. W celu udzielania pomocy w rozwiązywaniu tych zagadnień biuro centralne ma możność ujednostajniania praktyk i czynności wszystkich klubów, w zgodzie z celami Międzynarodówki „*Rotary*“.

Rotarzystów obowiązuje specjalny „kodeks moralny“. Zasady postępowania w interesach powinny być zawsze oparte na sympatji dla ludzkości. Są one ujęte w jedenaście punktów: podtrzymywać godność stanu; bezustannie pracować nad sobą; codzień stawać się bardziej użytecznym społeczeństwu; dobrze sobie uprzytomiać, że „jeżeli jest się człowiekiem interesu, z ambicją osiągnięcia powodzenia, to przedewszystkiem jest się człowiekiem o honorowości, która nie może podlegać dyskusji i sprawia, że nie ma się na widoku powodzenia nie opartego na sprawiedliwości i ścisłej moralności“; uważać, że wymiana towarów, usług i pomysłów w celach zysku jest prawną i sprawiedliwą tylko o tyle, o ile wszyscy zainteresowani odnoszą korzyść z tej wymiany; podnosić poziom zawodu; usługiwać swoim klijentom conajmniej tak dobrze, jak konkurenci to czynią — uczciwie wywiązywać się z zobowiązań; uważać przyjaźń za najcenniejsze dobro człowieka interesu; być przekonania, że chęć nadużycia zaufania przyjaciela dla własnej korzyści jest niezgodna z duchem „*Rotary*“ i stanowi przekroczenie jego kodeksu moralnego; nie starać się o zarobienie przy pomocy wątpliwych środków; nie uważać się za bardziej zobowiązanego wobec kolegi - Rotarzysty, niż wobec innych członków społeczności ludzkiej—duch „*R*” dąży nie do współzawodnictwa, lecz do współpracy; wierząc w uniwersalność zasady, że należy czynić bliźnim tak, jak chcemy, aby oni nam czynili, „mamy przekonanie, że gdyby zasoby naszej planety były rozdzielone równo między ludzi, społeczność ludzka bardziejby się zjednoczyła”.

Program czynności klubów jest omawiany w głównych linjach na dorocznych kongresach międzynarodowych „*R*”, na zebraniach kierowników okręgów i członków stałych komitetów; kierownicy okręgów zbierają prezesów i sekretarzy klubów w swoim okręgu dla ustalenia programu okręgu.

Na zakończenie tej notatki, jeszcze parę informacyj historycznych, a także o dzisiejszym stanie omawianej organizacji.

Założycielem „*R*“ jest Paul Harris, adwokat z Chicago, pierwsze zebranie klubu odbyło się 23 lutego 1905 r. Następny klub powstał po trzech latach w San Francisco, od tego czasu rozwój idzie szybciej, w jesieni 1927 r. Międzynarodówka „*R*“ liczy 2673 kluby i w przybliżeniu 134.500 Rotarzystów w 43 krajach. Związek Narodowy amerykański „*R*“ powstał w r. 1910, Związek Międzynarodowy w r. 1912, statut zrewidowano i zatwierdzono w r. 1922. W r. 1927 odbył się kongres międzynarodowy „*R*“ w Ostendzie. Z krajów europejskich mają kluby: Anglja i Irlandja, Hiszpanja, Francja, Danja, Norwegja, Szwecja, Finlandja, Niemcy.

Związek wydaje pismo „*The Rotarian*“ (miesięcznik, wychodzi w Chicago) i „*Rotary Wheel*“ (*wheel* — koło), jako organ Anglji (wychodzi w Londynie. Założenie klubu wymaga zezwolenia centrali, żaden klub nie może liczyć więcej niż 25 członków założycieli i w pierwszym roku nie może przyjmować więcej członków niż trzech na miesiąc.

Oto garść faktów. A jakie nasuwają one uwagi? Chyba każdemu czytelnikowi rzuci się w oczy prymitywność wymagań etycznych, głoszonych przez ten związek. Czyta się to wszystko ze zdziwieniem: a gdzież dwutysiącletnia kultura chrześcijańska, że takie odkrycia są potrzebne jak to, iż trzeba uczciwie wywiązywać się z zobowiązań, albo, że będąc „biznesmenem“ trzeba pamiętać o honorze. Chyba nasi poważni kupcy i przemysłowcy nie bardzo byliby zachwyceni, gdyby ktoś chciał im te zasady wykładać, jako coś rewelacyjnego. Oczywiście inaczej to wszystko wygląda na tle rozwydrzenia się materjalizmu amerykańskiego. Uderza jeszcze, nawet przy pobieżnem zaznajomieniu się z ideologją „Rotarzystów“, brak w niej jakiejkolwiek wzmianki o Bogu, o religji. Moralność „Rotarzystów“ oparta jest na godzeniu altruizmu i egoizmu, na humanitaryzmie, ale nic w niej niema z pierwiastków wiecznych, boskich. Nawet o miłości bliźniego niema tam mowy, choć się mówi o służbie. Starannie unika się wyrazu „naród“, choć nie można inaczej z sensem mówić o służbie ludzkości, jak przez naród własny. Wszystko to razem wziąwszy, trzeba uważać pomysł wprowadzenia „Rotarzystów“ do do Polski za zupełnie chybiony i powiedzieć robiącym to: Nie macie panowie większego zmartwienia?

Być może, nie wszyscy organizujący „Rotarzystów“ w Polsce zdają sobie sprawę, że może to być robota wysoce szkodliwa, wskutek wciągania sfer handlowych, przemysłowych i rzemieślniczych pod wpływy międzynarodowe, przedewszystkiem pod wpływy angielskie i amerykańskie, które z pewnością nie dla interesów Polski będą pracowały. Rzecz charakterystyczna przytem, że jak wszystkie międzynarodówki, „Rotaryści“ bardzo interesują się młodzieżą, w szczególności zanotowano ich wpływy na skauting, zwłaszcza w niektórych dominjach angielskich.

M. D.

MOZAJKA W SZKOLNICTWIE WILEŃSZCZYZNY

(Dokończenie)

POZOSTAJE nam do omówienia szkolnictwo żydowskie, najbardziej różnorodne i skomplikowane, gdyż w łonie społeczeństwa żydowskiego istnieje głęboki rozłam na tle języka wykładowego w szkołach, sięgający jednak dalej, bo aż do podstaw kultury żydowskiej: gdy jedni z pośród Żydów uważają za swój język ojczysty niemiecki żargon, przekształcony w swoisty sposób, do którego Żydzi od szeregu wieków przywykli, inni chcą nawrócić do języka oddawna martwego, będącego jednak niegdyś mową ich przodków, mianowicie do hebrajszczyzny. Po wojnie hebraiści otrzymali bardzo znaczne poparcie swych dążeń przez stworzenie niektórych urządzeń kulturalnych i państwowych w Palestynie, przyczem język hebrajski uznano tam za państwowy.

Stosunek Żydów do szkoły polskiej jest w Wileńszczyźnie dosyć skomplikowany. Publiczna szkoła powszechna w języku polskim jest przez

Żydów bojkotowana. Odsetek dzieci żydowskich w tych szkołach jest minimalny, a tylko Wilno posiada dwie polskie szkoły powszechne, przeznaczone wyłącznie dla Żydów, t. zn. świętujące w soboty, a nie w niedziele. Do gimnazjów polskich Żydzi garną się natomiast chętnie i w szeregu gimnazjów państwowych, zwłaszcza na prowincji, odsetek młodzieży żydowskiej jest znaczny. Pozatem i Wilno i niektóre inne miasta w okręgu posiadają łącznie kilkanaście gimnazjów prywatnych z językiem wykładowym polskim, przeznaczonych wyłącznie, lub w ogromnej większości dla Żydów.

Podczas więc gdy wykształcenie w zakresie średnim zdobywają Żydzi przedewszystkiem w języku polskim, wykształcenie elementarne odbierają we własnej szkole, prowadzonej bądź w żargonie, bądź w języku hebrajskim.

Podział językowy nie wyczerpuje jednak skali różnorodności szkoły żydowskiej. Wchodzi tu jeszcze w grę kierunek wychowania, który może być dwojaki: religijny i świecki. Kombinując te dwie różnice ze sobą, otrzymamy cały szereg szkół żydowskich, naogół dających się zgrupować w sposób następujący:

1) Szkoły Żydowskiego Centralnego Komitetu Oświaty. Są to szkoły świeckie z językiem wykładowym żydowskim, czyli żargonem. Zgrupowane są one w Wilnie, na prowincji zaś istnieje pokrewna organizacja p. n. Żydowska Centralna Organizacja Szkolna, która posiada około 15 szkół.

2) Ponieważ t. zw. szkoły żydowskie świeckie dogadzają nie wszystkim Żydom, przeto od dwóch lat powstała nowa organizacja p. n. „Szat-Kult”, która założyła dotychczas jedną szkołę w Wilnie, liczącą około 500 uczniów.

Szkolnictwo hebrajskie zgrupowane jest z kolei w dwóch organizacjach:

3) Szkoły hebrajskie świeckie istnieją pod egidą tow. „Tarbut”, którego zadaniem jest szerzenie wśród Żydów kultury w języku hebrajskim, jako narodowym.

4) Kierunek religijny w szkolnictwie hebrajskiem reprezentuje tow. p. n. „Waad Hamenchod Tachkemoni”. Pod egidą tego towarzystwa funkcjonują przedewszystkiem szkoły religijne dawnego typu, czyli talmud-tory, do których pod naciskiem współczesnych wymagań programowych wprowadzono poza judaistyką także częściowo inne przedmioty nauczania.

5) Dawne t zw. chedery, gdzie głównym przedmiotem nauczania jest biblja z komentarzami, a inne przedmioty prawie wcale nie są uwzględniane, otoczyło opieką tow. p. n. „Agudat Izrael”, które prowadzi nauczanie w tych szkołach w żargonie.

Ogólnie szkolnictwo powszechne hebrajskie i żydowskie cyfrowo przedstawia się następująco: Szkół hebrajskiech jest 73, żydowskich t. j. mieszanych żydowsko-hebrajskich — 2. Wszystkie te szkoły są prywatne.

Kształcenie nauczycieli dla powszechnych szkół żydowskich odbywa się w trzech seminarjach nauczycielskich, mieszczących się w Wilnie. Żydowski Centr. Kom. Ośw. utrzymuje koedukacyjne seminarjum z językiem wykładowym żydowskim [1]), tow. „Tarbut” również koedukacyjne seminarjum z językiem wykładowym hebrajskim, ponadto zaś istnieje jeszcze prywatne seminarjum d-ra Czarny, gdzie wykłady odbywają się częściowo po polsku częściowo po hebrajsku.

[1]) Obecnie zamknięte z powodu ujawnienia się prądów komunistycznych wśród uczniów. Prawdopodobnie będzie niebawem znowu otwarte.

Szkolnictwo średnie żydowskie i hebrajskie zgrupowało się obecnie wyłącznie w Wilnie, ponieważ istniejące przez lat kilka gimnazjum żargonowe w Święcianach i hebrajskie w Baranowiczach zostały zlikwidowane.

Obecnie w Wilnie istnieją dwa gimnazja żargonowe, należące do Żyd. Centr. Komitetu Oświaty, mianowicie matematyczno-przyrodnicze i humanistyczne. Szkoły te obecnie właściwie złączyły się w jedną szkołę o programie równoległym i stale wykazują zmniejszenie liczby uczniów. Istnieje pozatem prywatne gimnazjum żargonowe Z. Gurewiczówny, znajdujące się w pewnym związku organizacyjnym z Żydowskim Centralnym Komitetem Oświaty.

Gimnazja hebrajskie w Wilnie istnieją w liczbie trzech: dwa z nich, a mianowicie humanistyczne i matem. przyrodn. należą do tow. „Tasbutt”, trzecie zaś p. n. „Tuszyja” typu humanistycznego należy do tow. „Waad Hamenchod Tachkemoni”. Naogół gimnazja żargonowe i hebrajskie zdają się ulegać konkurencji szkół średnich dla żydów z językiem wykładowym polskim.

Żydzi jedyni z pośród mniejszości narodowych na terenie Kuratorjum Okr. Szkolnego w Wilnie zorganizowali także szkolnictwo zawodowe, którego nie posiadają ani Rosjanie, ani Białorusini, ani Litwini.

Na tym terenie działają dwa żydowskie stowarzyszenia, a mianowicie „Tow. Szerzenia Pracy Zawodowej i Rolnej wśród Żydów”, oraz „Towarzystwo Pomoc Pracy“.

Pierwsze z tych towarzystw posiada dwie szkoły zawodowe: jedną niższą z oddziałami ślusarskim i stolarskim, drugą zaś średnią p. n. *„Technicum“*, gdzie też są dwa oddziały, mianowicie mechaniczny i elektrotechniczny. Tow. „Pomoc Pracy“, założone jeszcze przed wojną, posiada obecnie kilka uczelni, a mianowicie:

1) szkołę dzienną niższą z oddziałami: stolarskim, malarstwa pokojowego, hafciarstwa, krawieczyzny męskiej,

2) szkołę wieczorową dla kobiet z oddziałami: krawieczczyzny damskiej, modniarstwa i kroju,

3) kursy handlowe,

4) kursy mechaniczno-techniczne i

5) szkołę rysunkową.

Omawiane dotychczas typy szkolnictwa nie wyczerpują całej mozajki szkolnictwa Wileńszczyzny, gdyż mamy jeszcze w Wilnie dwie inne szkoły obcojęzyczne, a mianowicie szkołę powszechną prywatną z jęz. wykładowym niemieckim, przeznaczoną dla dzieci rodzin niemieckich, mieszkających w Wilnie, oraz szkołę z jęz. wykładowym francuskim, do której zresztą w większości uczęszczają dzieci żydowskie.

Razem więc Wileńszczyzna posiada szkoły aż w 8 językach wykładowych, co niewątpliwie jest rekordem, nietylko w Polsce, ale bodaj w całej Europie. Podobną mozajkę możnaby chyba znaleźć tylko na Łotwie, ale i tam zapewne różnojęzyczność tak daleko nie sięga.

ZYGMUNT FEDOROWICZ

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Odkąd Felicjan Faleński swą przepiękną roozprawą zapoznał polską publiczność czytelniczą z twórczością Edgara Allana Poe'go, utwory wielkiego amerykańskiego poety-fantasty zawsze znajdowały u nas chętnych czytelników i tęgich tłumaczy. Lange wybornie przełożył *„Nevermore"* i „Dzwony", a St. Wyrzykowski dwa tomy „Opowieści fantastycznych". Nieznaną dotąd w Polsce była dłuższa powieść Poe'go p. t. „Pamiętnik Artura Gordona Pyma". Ukazała się świeżo w przekładzie Stanisława Sierosławskiego w redagowanym przez Czesława Kędzierskiego „Świecie podróży i przygód" (Wydawnictwo Polskie, Poznań), gdzie już poprzednio wydano parę powieści Stevensona, Marka Twaina, Sabaliniego i Coopera. Treść powieści bardzo ciekawa, intrygująca i rozmaita. Jej bohaterem jest młody chłopak, który w tajemnicy przed rodziną wybrał się na morze, ukrywszy się — z pomocą kolegi — na dnie okrętu. Na okręcie wybucha krwawy bunt załogi, wskutek którego chłopak, zapomniany w swej kryjówce, cierpi przez kilka dni tortury głodowe (motyw zużytkowany odmiennie w noweli „Studnia i Wahadło"), następnie zaś staje się uczestnikiem srogiej rozprawy orężnej między marynarzami. Ocalony z trzema towarzyszami, staje się ofiarą katastrofy okrętowej, wskutek której przechodzi nowe tortury głodowe. Wstrząsający jest moment ludożerczego mordu na jednym z towarzyszów—motyw podchwycony następnie przez Verne'a w „Okręcie Chancellor". Wyratowany nakoniec przez załogę przepływającego okrętu, Gordon Pym bierze udział w wyprawie pod biegun, gdzie przeżywa momenty pełne tajemniczości; wśród nich zwraca uwagę hieroglifika dziwnych napisów, w których Poe, miłośnik wszelkich szyfrów, tak się lubował (por. nowelę „Gold-Bug"). Rzecz zaczęta awanturniczo i realistycznie, kończy się nutą mistyczną. Przekład bardzo dobry, choć czasem zbyt dosłowny.

(J. B.)

*

Mało który poeta cieszył się u nas w pewnym okresie taką popularnością, jak Maurycy Maeterlinck. Był bożyszczem „Młodej Polski", mistrzem Miriama, Tetmajer Rydla, Przybyszewskiego, nawet Kasprowicza i Wyspiańskiego. Ale też wziętość ta trwała niedługo — w rychłym czasie uczniowie wyparli się mistrza, poszli własnym torem. Przyczyniła się do tego i pewna monotonja nastrojów maeterlinckowskich, i pewna powierzchowność ujmowania spraw głębokich. Zwłaszcza dramaty tego poety się przeżyły — niewiadomo, czy który z nich czyniłby dziś wrażenie na deskach teatralnych. „Czasu Bóg postąpił krokiem"... Zrozumiał to zapewne sam twórca „Ślepców", skoro porzuciwszy dramat, wziął się do rodzaju bardziej aktualnego — i popłatnego: Do fejletonu. Tak powstały całe tomy jego pogadanek i rozpraw z dziedziny przyrodniczej, socjalnej i metafizycznej (czasem „metapsychicznej"). Jaką mają wziętość nietylko zagranicą, ale i u nas, dowodem jest choćby to, że na 70 tomów „Bibjoteki Laureatów Nobla" ukazało się 10 tomów Maeterlincka, a niektóre z nich („Życie pszczół") doczekały się wielokrotnych wydań. Redaktor obecny „Bibljoteki" Stanisław Wasylewski, słusznie postąpił, że tomom tym dodał należytą wagę, zamieszczając ciekawe wstępy, wyjaśniające istotę poglądów Maeterlincka i jego stanowisko w literaturze i nauce. Zwłaszcza ciekawy jest wstęp do „Ścieżek wzwyż", napisany przez samego redaktora, a charakteryzujący całą twórczość belgijskiego poety: niemniejszej uwagi godna jest rozprawka prof. Błachowskiego o „Życiu przestrzeni" oraz dr. Kolbuszewskiego o filozofji Materlincka. W „Ścieżkach wzwyż" (jak poprzednio w „Wielkiej tajemnicy") charakterystyczne są słowa o wielkiem znaczeniu — milczenia: przypymina się Norwid, który zresztą w wielu względach znacznie Maeterlincka wyprzedził; poetę belgijskiego, który wszak dawniej celował rozlewnością...(wielomównością), do takiej zmiany przywiódł przykład mądrców indyjskich. Książka ta jest bodaj ostatnim przekładem, jaki wyszedł z pod pióra płodnego tłumacza, ś. p. Mirandoli; nowemi przekładami zajęli się inni tłumacze, już fachowo bardziej powołani. Wartościowy jest przekład „Życia mrówek", dokonany przez prof. Adama Czartkowskiego, który szczęśliwie łączy w sobie wiedzę przyrodniczą (specjalnie entomologiczną) z talentem literackim. „Życie mrówek" ma — prócz ciekawej treści — i posmak aktualny, ze względu na proces, jaki co do autorstwa m. Maeterlinck.. ze swoją żoną. Treścią rzecz ta wiąże się z „Życiem pszczół" i „Życiem termitów", jako trzecia część „trylogji".

(J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Hr. Karol Sforza zajmował szereg wybitnych stanowisk we Włoszech przed przyjściem do władzy Mussoliniego. Był posłem, ambasadorem, wreszcie ministrem spraw zagranicznych w ostatnim gabinecie Giolittiego. Brał przeto czynny i bezpośredni udział w polityce międzynarodowej w burzliwym okresie wojennym i powojennym, spotykał się i miał dużo do czynienia z wybitniejszymi ludźmi tych dwuch okresów. Te swoje doświadczenie zużytkował, pisząc książkę p. t. *„Les Bétisseurs de l'Europe Moderne" (Libraine Gollimard. Paris)*, w której znajdziemy żywe i zajmujące portrety szeregu osobistości i polityków europejskich wszystkich narodów, począwszy od cesarza Franciszka Józefa, Aerenthala, Tiszy, kończąc na osobach takich, jak Foch, Poincaré, Briand, Balfour, Chamberlain, Giolitti, Mussolini, Mustapha Kemal, Piłsudski, Yuan czi-kai, Siun-Jat-Sen i t. d. Hr. Sforza jest demokratą i liberałem, można go nazwać „czerwonym hrabią", nienawidzi organicznie nacjonalizmu, stara się jednak być bezstronnym, a że umie patrzeć i dobrze pisze, więc jego charakterystyki są często trafne, a zawsze ciekawe. Dyktatorów nie lubi, jest jednak zawziętym tylko na Mussoliniego; u innych potrafi znaleźć cechy sympatyczne. Tak np. nazywa Piłsudskiego „dyktatorem anachronicznym," powiada, iż jest „nowem wcieleniem starej Polski romantycznej, donkiszockiej, mającej w pogardzie wszelkie względy materjalne", lecz odnosi się do niego z sympatją za jego walkę z „nacjonalistami". Od czasu do czasu przytacza hr. Sforza fakty nieznane, lub oświetlenie faktów znanych nowe i ciekawe. Książka zajmie każdego, kto się interesuje najnowszą historją Europy.

(K).

*

Epokę naszą charakteryzuje niezawodnie najbardziej jej warjacki rytm. Możemy powiedzieć, iż jest to „epoka szybkości". Zdajemy zaś sobie z tego sprawę, gdy cofamy się w przeszłość nawet nie tak daleką: dzieli nas bowiem od niej formalna przepaść. Uczucia tego doznajemy właśnie, czytając ostatnią książkę Pawła Moraud'a p. t. „1900" *(Les Editions de France)*. Autor *„Rien que la terre"* przedstawia ten przełomowy rok, oczywiście pod swoim, bardzo specjalnym i osobistym, ale niezmiernie ciekawym kątem widzenia. Opisuje jego mody, obyczaje, sławnych ludzi politycznych, znanych autorów oraz cały zespół ówczesnego życia. W bardzo udałych pociągniętych podkreśla znaczenie wystawy 1899 r. Czyż nie jest ona bowiem „przybytkiem iluzji"? Na wystawie zaś tej zaznaczyła się obok różnych „mikstur międzynarodowych", kolosalna potęga Niemiec, energja Japonji. Autor specjalny kładzie nacisk na ten fakt, że wówczas właśnie Francja, która po 1870 r. zasklepiła się poniekąd w sobie, otworzyła oczy na nowe perspektywy artystyczne i polityczne.

W tej interesującej książce Morand nie zapomni ani o pierwszych samochodach, ani o popisach sportowych. Opisze literackie salony, znaczenie talentów Bourget'a, Zoli, France'a. Dzięki autorowi *„Bouddha vivant"* zapoznajemy się z całokształtem ówczesnego życia i jego zwyczajów.

Czytelnik jednak doskonale zdaje sobie sprawę, że Paul Morand ten okres czasu ocenia surowo, nie lubi go, ponieważ sam na końcu oświadcza ze szczerością: *„Nous n'avons reien de commun avec cette époque"*. (I. B.)

TEATR

O LOS TEATRÓW WARSZAWSKICH

Dr. Arnold Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego i Teatru Małego w Warszawie, wydał (skład główny u F. Hoesicka) broszurę pt. „Fuzja czy Transfuzja? Uwagi na marginesie projektu połączenia Teatrów Miejskich z Teatrem Polskim i Małym".

Projekt połączenia tych teatrów pod jedną dyrekcją rozważany był w ciągu kilku tygodni między czynnikami miejskiemi i p. Szyfmanem, a prasa codzienna podawała o tych rokowaniach szereg komunikatów i własnych uwag na ten temat. Wówczas jednak, jak pisze p. Szyfman „zostałem zaatakowany przez szereg ludzi, którzy dla celów przyjacielskiej kandydatury byli i są gotowi nietylko obniżyć wszystkie moje wartości artystyczne i moje choćby najskromniejsze zasługi, ale nawet podawać w wątpliwość moją uczciwość", — ogłasza więc niniejszą broszurę dla obrony przeciw zarzutom i przedstawienia wyjaśnień.

Po cyfrowych wywodach na korzyść projektowanej Spółki, autor zarysowuje ogólny program repertuarowy dla każdego z sześciu teatrów, mających wejść w skład Spółki, a więc repertuar klasyczny, poetyczny i monumentalny, repertuar nowoczesnego dramatu i komedji, lekkiego i sensa-

cyjnego, wreszcie literackiej awangardy i eksperymentów. Połączony zespół aktorski wszystkich teatrów, jak i doangażowanie aktorów wartościowych, a obecnie w żadnym teatrze niezajętych, ułatwiłby obsadę ról właściwemi siłami, i znacznie wpłynąłby na obniżenie kosztów administracji złączonej w jednych rękach. Także wtedy, pisze p. Szyfman, dałyby się urzeczywistnić opracowane przez niego plany dramatycznego studjum, plany praktycznie pomyślanej akcji dla ożywienia twórczości dramatycznej i muzycznej, projekty celowej rywalizacji między młodymi reżyserami i aktorami, propagandowej reprezentacyjnej wycieczki teatralnej zagranicę i t. d. Dalsza część broszury streszcza od początku dotychczasową działalność p. Szyfmana, przebieg polemiki prowadzonej w sprawie zamierzonej Spółki, przyczem podaje liczne głosy prasy.

Broszura „Fuzja czy transfuzja" nie jest w trudnej i skomplikowanej sprawie teatrów miejskich pierwszą, i interesująco nawiązuje się do broszury b. prezesa Rady Miejskiej m. st. Warszawy p. Balińskiego i złożonego swego czasu zarządowi miasta projektu p. Kriwoszejewa. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

LITERATURA nie ma kłopotu z określaniem pewnego rodzaju utworów pióra. W jej bogatej terminologji istnieją między innemi nazwy takie, jak komedja, farsa, satyra, fraszka, żart, krotochwila, paszkwil i t. d. Gdy stajemy przed odpowiednikami w plastyce tych form literackich, okazuje się, że słownictwo plastyczne jest pod tym względem daleko uboższe. Rozporządzamy zaledwie jednym wyrazem: karykatura. Dlatego zapewne do działu karykatury zaliczamy również utwory, które przy szczegółowszych i bardziej zróżniczkowanych definicjach umieścilibyśmy gdzieindziej. Nazwa ta oddawna już zatraciła ścisłe swe znaczenie, określając dziś potocznie wszelki rysunek, obraz, rzadziej rzeźbę, treści satyrycznej lub humorystycznej.*) Dla ścisłości dodać jednak należy, iż karykatura, jako nazwa dla, w pewien sposób ujmowanego, kształtu wystarczała zawsze. Trudności w określaniu dzieła powstawały wtenczas, gdy do karykatury ściśle plastycznej dołączano i pewną treść literacką. Tu utwór komplikował się w swym zasadniczym typie i przekraczał raz ustalone ramy. Bardzo popularny jest również rodzaj ryciny, który sam przez się żadną miarą do działu omawianego zaliczony być nie może, a wchodzi doń tylko ze względu na sens obrazu, pozatem nie wyróżniającego się, jakiemś specjalnem ujęciem formy. Najwłaściwiej byłoby nazwać go ilustrowaną anegdotą. Możnaby wyliczyć i wiele jeszcze innych warjantów i odchyleń.

Dlatego, powiedzieć o kimś poprostu: karykaturzysta— nie wystarcza. Zwłaszcza dziś, gdy rysunek chętnie przestaje pod znakiem groteski, a ekspresjonizm nadał mu piętno aż do przesady podkreślanej wyrazistości. Granice są otwarte i malarz przebywa w obu krainach swobodnie, nie zmieniając swego obywatelstwa artystycznego.

Trzeba mieć na uwadze powyższe przy oglądaniu prac Zdz. Czermańskiego. Trudno go nazwać właściwie karykaturzystą, choć za takiego właśnie uchodzi i temu zawdzięcza swą popularność. Cz. skrupulatnie studjuje formę i wyraźnie podkreśla jej charakter, ale odznacza się przytem jakimś wrodzonym szacunkiem dla kształtu, szacunkiem, który mu wzbrania najrozmaitszych koziołków rysunkowych, to też wobec niektórych współczesnych rysowników, nawet nie karykaturzystów, on, „karykaturzysta", wydaje się dziwnie wstrzemięźliwy. Jego ludzi, bardzo podobnych, nie cechuje szarża w traktowaniu rysów charakterystycznych, są oni względnie „przystojni" (taki np. p. Prystor może i byłby zadowolony, gdyby tak naprawdę wyglądał). Pozatem Cz. posługuje się mnogością środków formalnych i technicznych, zupełnie świadomie i często z zamiłowaniem wyrysowując szczegóły, nie zawsze niezbędne. Technika niełatwa i wyrafinowana — trzeba przyznać — daje efekty pierwszorzędne i nieraz niemal całkowicie stanowi o wartości rysunku. Artysta ma swoje sposoby w używaniu kresek kolorowych ołówka i pióra. Plama barwna jest miękka i puszysta, przeszywa ją ostra i drapiąca kreska ołówka, cienka, nerwowa, często zagmatwana, Zamykając technikę Czermańskiego w obrazie dwu słów, powiedziałbym: igła i puch.

Do najważniejszych i największych prac na wystawie (Salon Cz. Garlińskiego) należą: teka „Marszałek Piłsudski w karykaturze" i cykl p. t. „Paryż". Teka jest już dość dobrze znana szerokiej publiczności, dzięki wydaniu jej w znakomitych podobiznach faksymilowych, wykonanych u Daniela Jacomet w Paryżu. Oddzielne plansze wisiały w oknach kilku księgarń warszawskich, gromadząc przed witrynami tłumy, dzięki sensacyjnej aktualności rysunków. W tej właśnie pracy chciał Czermański być czystej krwi karykaturzystą. I to wyższej rangi. Takim, co nie z ludzkiej fizys podrwiwa, ale z ludzkich postępków. Nie dał nam jednak tego, co obiecał w tytule. Przejęty szacunkiem dla osoby karykaturowanej, nieraz uderzył w ton nieledwie panegiryczny. Tytuł części rysunków powinien raczej brzmieć: „Opozycja w karykaturze". Każdy temat jest dobry i nic nie przeszkadzało artyście właśnie w ten sposób go ująć, zwłaszcza jeżeli miał szereg pomysłów. Poco jednak, w takim razie, jest tytuł w połowie zwodniczy? Może malarz zdecydował się nań z jakichś innych względów? Coś tak wygląda, jakby to miały być dwie pieczenie z jednego ognia. I żeby było naprawdę zabawne, i żeby o marszałku, i żeby dobrze widziane. Pozatem trzeba przyznać — niektóre kompozycyjki są naprawdę zabawne.

W inny świat nas wprowadza cykl „Paryż". Podejście do tematu utwierdza w mniemaniu, iż Czermańskiego najbardziej interesuje c h a r a k t e r ludzi i rzeczy, „Paryż" jest zadanem, zresztą dość często przez współczesne malarstwo rozwiązywanem, wydobycia swoistej poezji brzydoty z rzeczy pozornie niemalowniczych. Sam temat portretowania miasta, podejmował współcześnie jeden z artystów francuskich, o ile się nie mylę, Chas Laborde. Były to *„Rues et visages"* Londynu, Paryża, Berlina. Cz. chce nam pokazać miasto i tylko miasto. Człowiek, jeśli się tu zjawia na rycinie, jest tak samo dobry, jak kamień, lub okno, i nie ważniejszy od nich. Bo widzimy Paryż nie „etranżerów", ale ten prawdziwy, warsztaty pracy skrzętnego i zapobiegliwego ludku paryskiego: „Bistro", „Sklep z rybami", „Fryzjernię", „Sklep z mięsem", „Pralnię" i t. d. Fragmenty ubogie i niepozorne, na które się patrzy i nie widzi, gdyż „wszystko to jest tak pospolite, codzienne, że się już tego nie dostrzega", jak pisał o Czermańskim krytyk francuski Andrè Salmon, odtwarza artysta z zamiłowaniem i z drobiazgową ścisłością, albowiem w tym małym światku wszystko jest ważne i żyje osobliwem życiem przedmiotów, będących w codziennej styczności z ludźmi.

Pozatem na wystawie znajduje się szereg rysunków, karykatur obrazów słynnych malarzy dawnych i współczesnych. Za najbardziej udane uważam: karykatury z obrazu Rigaud „Ludwik XIV" i malarstwo Marca Chagalla. (W. P.)

[1]) W. Husarski „Karykatura w Polsce" Monografje artystyczne, tom VIII, 1926 r.

ERRATA: W art. pt.: „W tajnikach wybaczenia" w nr. 26 m a b y ć:

Str. 342, szpalta I, w. 8 od góry: nosicielami t r a g i z m u sztuki...
„ 343, szp. I, w. 25 od dołu: zła okropnego u swojej krwi.
„ 343, szp. I, w. 15 „ „ : ta s o l i d a r n o ś ć, ta duma...
„ 344, szp. I, w. 16 „ „ : z p r a w d ą, jedynie tu...
„ 344, szp. II, w. 2 od góry: była j u ż na pochyłości...
„ 344, szp. II, w. 23 „ „ : że n o s i w łonie...
„ 345, szp. I, w. 25 od dołu: nie jest ofiarą? Ofiarą nieustępliwości ojca...
„ 345, szp. II, w. 16 „ „ : niż prosta m ś c i w o ś ć. [Po „mściwość" ma nastąpić *alinea*].

Odsyłacz [4]) w tekście odnosi się do błędnie umieszczonego odsyłacza [5]) w przypiskach — i naodwrót.

W odsyłaczu [4]), w. 6 od góry: „niewiadomo o tem, ż e b y znalazł się..."; w. 8 od góry: „musiał być okrutnym i od tego czasu zepsuł się;... aresztowanie".

Wskutek szeregu telefonicznych zapytań naszych prenumeratorów w Warszawie, wyjeżdżających na wakacje — zawiadamiamy, że możemy tylko przyśpieszyć ogólne inkasowanie prenumeraty za kwartał III i rozpoczniemy je najwcześniej dopiero 19 b. m.

Delegowanie natomiast inkasenta do poszczególnych miejsc jest dla nas niemożliwe.

A d m i n i s t r a c j a.

OFENSYWA

COPYRIGHT BY „SŁOWO" ST. MACKIEWICZ

Od jakiegoś roku czytam i staram się wyłącznie czytać tylko książki o wojnie, o Sowietach, o Ameryce i o Italji. Co innego mnie już setnie nudzi. Czasem jeszcze coś beletrystycznego, ale też tylko o wojnie albo z Sowietów, z Ameryki, z Italji. Swojskiego arcydzieła nie tknąłbym już za żadne skarby świata. Czasem jeszcze coś, co przyjaciele wydrukują, z kurtuazji, *pour la bouche bouche.* Ale za to wszystko, co tylko można o Italji, Ameryce, Sowietach i nadchodzącej wojnie. Bardzo interesująca lektura, tylko trochę za silnie działa na system nerwowy. Bywają książki, po których jednohaustowem przeczytaniu, nie śpi się potem, bo nie można zasnąć całą dobę. Choć to i tak męczy, bo człowiek, jak wiadomo, monokel.

O Sowietach i z Sowietów jak najwięcej. Coś korci i coś ciągnie. Jednego dnia o Stanach Zjednoczonych anglosaskich, drugiego dnia o S. Z. słowiańskich. Nie radzę tego płodozmianu nikomu, kto nie zdołał sobie wyrobić całkowitego spokoju ducha. A takich mało u nas.

Bardzo łatwo tedy można sobie wyobrazić, z jaką frenezją rzuciłem się do czytania feljetonów p. Mackiewicza, t. j. bądź co bądź, pierwszego polskiego publicysty, który „odważył się" jechać na Wschód. Ot, czyta się Amerykanów, Niemców, Francuzów, Anglików, no to co też powie nasz Polaczek znalazłszy się na... Oceanie Eurazji. Kiedy wyjeżdżał p. Cat już wyraziłem obawy: „Ten człowiek tam oszaleje. Będą z nim mieli duży kłopot ci latyfundyści ze „Słowa". Biedny Eustachy... Prof. Zdziechowski zemnie gazetę i napisze list z prośbą, żeby mu „Słowa" więcej nie przysyłano; Studnicki będzie piszczał, wrzeszczał, rozkładał ręce; Limanowski krypto-bolszegeist będzie zacierał ręce..., artykuły pójdą, ale skandal wybuchnie także, jak dwa a dwa jest cztery"... Są świadkowie... No i nie omyliłem się. Ale zabawa jest jeszcze większa, niż się przypuszczało i przewidywało. A przewidzieć można było.

Pan Mackiewicz, choć już od kilku lat pisze, jest nadal nieokiełznany i nie objeżdżony. Nie znosi wędzideł. Zakochał się i rozsmakował w swej roli egzaltadora, paradoksisty, pyrotechnika, stylisty, stawiającego po trzy kropki nad każdem i..., epatującego brać dziennikarską najniespodziewaniej najśmielszemi ekshibicjonistycznemi poglądami. Że ma i talent pisarski, więc mu te rozmaite Shaw-izmy uchodzą płazem, ale, że drukowane nie w stołecznem piśmie, więc nie wywołują żadnej pożądanej sensacji. I w tem jego tragedja: rezonans na partykularzu, koloratura na pustyni, rakiety w świrunku, groch na ścianie. Do Sowietów pojechał jako swoje najwyższe *cis*, żeby nas poprostu olśnić i dobić, tak jak Nansen, jak Liwingstone, jak Shakleton, jak Alain Gerbault. Pojechał za młodo, był za krótko, ogorzał dosłownie od miesiąca (pobytu), wpadł w szał, w gorączkę 40°, w dosłowną histerję i kiedy wrócił, zaczął zdawać sprawę ze swego lotu ptaka, na gorąco, obłędnie, chaotycznie, wulkanicznie, dytyrambicznie, a... dziecinnie.

Że człeczyna uczciwy i rzetelny, że sowieckiemu Woksowi (Wszechrosyjskie Towarzystwo Kulturalnych Związków z Zagranicą) wdzięczny, więc musiał pisać prawdę i „rzeczywistą rzeczywistość" prozentować czytelnikom, no i (jak sobie imaginował) czekającej dopiero na te rewelacje Europie. Że zaś niby monarchista *(pour epater les Peowiaks)*, że przynależy do komendy, do H. K. T. B. B. W. R., że „wierzy" w ideologję i „radosną twórczość" I-ej Brygady, no i ostatecznie z krwi i kości burżujski produkt, więc tę prawdę widzianą i słyszaną (pobieżnie) musiał retuszować negatywami i diminutiwami, ba nawet piorunami gromów i *quos ego.* W rezultacie z pomiędzy wierszy wylazł jednak panegiryk, hymn, dytyramb. Jako Cezarysta pisze kokieteryjnie: „Petersburg", ale jako turysta poprostu z zachwytu w zachwyt, superlatywy. W jednym i tym samym fejletonie, 24 maja, o „morfinie", zaczyna od tego, że „handlu prywatnego niema tam absolutnie", że „ani jednego sklepu niema na całym (?) obszarze (?) Rosji" *(sic)*, poczem opisuje kolejno w ośmiu ustępach sklepy komuny, magazyny, antykwarjaty i handel uliczny i znów warenhauzy państwowe i nie państwowe, olbrzymy, gdzie niby nic niema, a sprzedaje się wszystko i przewala się po 10.000 *(sic)* ludzi... No i wogóle w tem wszystkiem pisaniu p. Mackiewicza jest jakieś olśnienie, oniemienie, oszołomienie i jakiś wielki krzyk z duszy tamowany i tłumiony jakąś olbrzymią dłonią... czyżby całego kapitalistycznego ustroju?

Nie, nie trzeba tych kresowców z Północnego Wschodu wysyłać w tamte strony. Oni są nieuleczalnie „wostoczni". Ich ta olbrzymiość, te gigantyczne dymensje, to mnożenie się mas i ta ewangeliczność prostego rosyjskiego „czeławieka" poprostu upaja, wzrusza, rozkłada. Im to wszystko, co tam znów nowego, nietylko imponuje, ale przybija, dobija, rozbraja...

Nie! Tam do Sowietów trzeba nam wysyłać jako obserwatorów li tylko Polaków skroś Zachodnich, trzeźwych, zrównoważonych, spokojnych, nie mistyków, ale realistów, racjonalistów, pozytywistów, zimnokrwistych, którzy daliby sobie zaimponować temu tylko, co imponuje i innym Europejczykom, a nie opijali się zaraz terenem, masą, Wołgą, hyperbolami, gigantycznością amplitud... i chaosem, który może zrodzi, ale może i nie zrodzi gwiazdy.

Dla nas specjalnie interesujące, jako coś istotnie nowego, było tylko to, co p. redaktor Mackiewicz pisze o t. zw. „Liszeńcach".

Aby zrozumieć to nasze zainteresowanie „liszencami", musimy najpierw zacytować tu, co żydowski syjonistyczny-szowinistyczny „Nasz Przegląd" pisał niedawno o swoich największych wrogach t. j. o t. zw. „Endekach":

„Nikt nie ma tak wielkich zasług dla Polski niepodległej jak Endecja. Pomimo aktywizmu austro-niemieckiego w znacznej części społeczeństwa polskiego, dyplomatom endeckim udało się przekonać zwycięską Ententę, że cały naród polski stał po stronie mocarstw zachodnich i wywalczyć samodzielną Polskę w granicach, o których żaden Polak dawniej nie śnił w najśmielszych marzeniach. Gdy jednak przyszło do otrzymania nagrody za te zasługi, spotykał Endecję ze strony narodu brak uznania. Naród pozornie wbrew wszelkiej logice, rzucił się w ramiona jej przeciwników. Nawet jej rzeczywiste dla Polski zasługi są stale negowane, lekceważone, a nawet przeistaczane w grzechy".

A teraz jak opisuje p. Mackiewicz stosunek bolszewików do t. zw. „liszenców":

„Czy bolszewicki „liszeniec" to to samo, co niewolnik — Nie! Ale to też nie to samo, co murzyn. „Liszencami" w Rosji są często ludzie, którzy niegdyś kupowali obrazy cudzoziemskich mistrzów, których pieściła kultura, i którzy pieścili kulturę, którzy należeli do międzynarodowego środowiska intelektualistów Europy. W wysiłkach intelektualnych Europy jest część ich pracy, pozostały atomy ich mózgu i krwi. Intelektualiści europejscy na każdym zebrani kongresie powinni o nich myśleć, jako o swoich kolegach. „Liszeniec" to nie to samo co niewolnik — to lepiej, albo też to gorzej — liszeniec to prawie dokładnie to, co średniowieczny „wywołaniec", „banita". Nie można go sprzedać, ani zastawić, jak niewolnika w Liberji, lecz natomiast państwo pozbawia go możności zarobku na każdym kroku, możności pobierania nauki, możności wprost życia".

I jeszcze dodaje na końcu o tym „liszeńcu" p. Mackiewicz:

„Wreszcie nie można, coprawda, „liszeńca" zabić dla przyjemności na ulicy, lecz można go pozwać przed sąd, a ponieważ sąd sądzi nie według suchej normy prawa, lecz według dynamiki rewolucyjnej, to prawie w każdym sądzie, prawie każdą sprawę „liszeniec" przegra dlatego tylko, że jest „liszeńcem".

Poczem o stosunku do sowieckiej dyktatury (gniotącej „liszeńców") całego narodu:

„70 do 80% całego społeczeństwa, całego narodu, żywi do Sowietów wyraźną, otwartą, rozpaczliwą nienawiść, lecz nienawiść, która nie umie i nie może się przetworzyć w żadną planową akcję, nienawiść bezsilną".

To też kiedy p. Mackiewicz swój wywód o „liszeńcach" kończy w ten sposób:

„Myślałem czasami, że gdy po raz drugi przyjdzie pod szklany dach Genewskiej Ligi Narodów sprawa negrów w Liberji — czy nie powinienem z miejsc dziennikarskich krzyknąć na całe gardło ten jeden wyraz: „liszeniec"—

My mu to odradzamy i to stanowczo. Natomiast jeżeli kiedy w Sejmie Polskim któryś z tych jego gangsterów z B.B. W. R. zacznie coś mówić o „liszeńcach", to wtedy niech poseł Mackiewicz jako już „spec od Sowietów" na całe gardło krzyknie ten jeden wyraz:

A Endecy?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Przez pięć ostatnich lat w prasie codziennej spotkać można było stałe, raz po raz powtarzające się rubryki pod tytułami: „Konfiskaty", „Rugi urzędnicze", „Szykany podatkowe", „Niewykryte zbrodnie" i t. d.

Obecnie pojawiła się nowa, stała rubryka, której dawniej nie było: „Zajścia z bezrobotnymi".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.